

Eileen Wilks  
Spotkanie w środku nocy

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nie myślałem o umieraniu. Miałem w głowie koszmarny zamęt. Podkręciłem radio, by zagłuszyć bezładny natłok myśli.

To był błąd.

Ta nieznośna muzyka country. Wszystkie piosenki albo o miłości, albo o porażkach. Skrzywiłem się i zabębniłem palcami o kierownicę. Wycieraczki mozolnie zmagają się z nawałą mokrego śniegu, nanoszonego przez wichurę. Znałem tę trasę równie dobrze jak ulicę, na której mieszkałem od czterdziestu lat. Przez większość czasu sam, w dużym, starym domu. Miałem czterdziestkę i wciąż byłem sam.

I najwyraźniej zamiast dorośleć, durniałem. Chmurnie wpatrywałem się w pas szosy, wyłuskiwany z mroku światłami ciężarówki. Po cholere dałem się namówić Sorensonowi na kieliszek po omówieniu interesów? Na szczęście nie okazałem się kompletnym idiotą, bo mimo wylewności gospodarza poprzestałem na jednym.

- No, chlupnij sobie jeszcze - nalegał jowialny właściciel hotelu. - Firma stawia.

Zbył mnie lekceważącym gestem, kiedy usiłowałem wymigać się pod pretekstem paskudnej pogody. Przez skórę czułem, że to palant. Ale właśnie ten palant wynajął moją firmę do prac renowacyjnych na dużą skalę.

- Nie wyglądasz na kogoś, kto wylewa za kołnierz. No, nie chcesz chyba, żebym cię wziął za mięczaka, co? A może nie nadajesz się do tej roboty? - prowokował.

- Mężczyzna nie musi udowadniać swojej męskości, pijąc - odparłem, kurtuazją tuszując znużenie.

Prychnąłem gniewnie na wspomnienie tej rozmowy. O wpół do ósmej rano miałem być na miejscu, a tymczasem dziesięć minut przed północą wciąż mozolnie przebijałem się

przez meandry górskiej drogi, walcząc z wichrem i marznącym deszczem.

Nagle z ciemności wyłonił się ostry zakręt bez utwardzonego pobocza. Zdjąłem nogę z gazu i lekko przycisnąłem hamulec. Kątem oka dostrzegłem znak ostrzegawczy, że barierka jest uszkodzona. Wszedłem w zakręt ostrożnie, na niskich obrotach. Ale w połowie manewru trafiłem na lód. Koła skrzyły w lewo, a ja wraz z półtonową masą metalu długim ślizgiem sunąłem do przodu. Za wyłamaną barierką gięły się na wietrze wierzchołki sosen. Ich korzenie sięgały kilkadziesiąt metrów w dół, a za nimi opadały następne metry stromego zbocza. Skręciłem ostro kierownicą i zaraz ją wyprostowałem. Poskutkowało. Zarzuciłem nieco tyłem, ale odzyskałem kontrolę nad pojazdem. Pokonałem zdradziecki zakręt, cały i zdrowy! I wtedy poprzez mroczną ścianę mokrego śniegu spostrzegłem długą linię tryskającą iskrami, która leciała wprost na mnie.

W ułamku sekundy zdałem sobie sprawę, że to zerwany kabel elektryczny. Mógł rozbić szybę i porazić mnie napięciem kilkunastu tysięcy wolt. Nie było czasu na zastanowienie ani na strach. Musiałem działać błyskawicznie. Gwałtownie skręciłem i nacisnąłem hamulce.

I to był błąd.

Ciężarówka wykonała cyrkowy piruet na lodzie, jakby kręciła się po natłuszczonym teflonie. Zerwany kabel zatoczył łuk, omijając szoferkę o niecałe pół metra. Próbowałem wyprostować koła, ale cholerny wóz nie posłuchał. Tył gruchnął o coś i zatrzymał się. Przód wykonał nagły zwrot i mocno szarpnął. Wciąż jednak gładkim ślizgiem ciężarówka nieubłaganie obsuwała się w stronę skarpy. Uszkodzona barierka... Boże...

Nie myślałem o śmierci. O niczym nie myślałem. Z rozmachem naparłem na drzwi, żeby jak najszybciej wydostać

się z potrzasku, lecz było za późno. Uwięziony w szoferce, koziółkowałem razem z wozem po zboczach, przy akompaniamencie piekielnego zgrzytu metalu. Obijałem się niczym piłka od ścianek miażdżonej kabiny. Nagle ciemność zadała mi cios potężną pięścią - i zaległa cisza.

Usłyszałem jęk. Co za kretyn jęczy, kiedy to ja jestem w opresji? Otworzyłem usta, by go uciszyć. I wtedy jęk ustał. Przyczynowo - skutkowy ciąg zdarzeń obudził w mózgu kilka ocalałych szarych komórek. Tkwiałem zawieszony w szoferce pod dziwacznym kątem. Prawą powiekę zalepiała mi lepka maź. Powoli zacząłem kojarzyć ucisk w lędźwiach i klatce piersiowej, podświetlenie deski rozdzielczej i przeraźliwą ciszę. Przód ciężarówki zarył się w ziemi, reszta sterczała w niebo niczym wrak samolotu.

Żyłem. Ale byłem ranny.

Przejmujący ból mącił myśli... A tak, pamiętam uderzenie w głowę. Instynktownie sięgnąłem tam ręką. Ramieniem targnął szarpiący ból, który niemal pozbawił mnie tchu. Wisiałem tak, wciąż przypięty pasami, z trudem łapiąc dech. Fatalnie.

Poprzez jednostajny szmer deszczu usłyszałem złowrogie skrzypienie. Tknięty strachem podniosłem głowę i wyrznąłem o coś twardego. Starczyło mi tchu, by zakląć i zdać sobie sprawę, że dach ciężarówki wgął się do środka. W palących się wciąż światłach wozu pobłyskiwały odłamki szkła, rozrzucone po szoferce. Drzwi były wgniecione do wewnątrz.

Oddychaj głęboko, mówiłem sobie, panikując nic nie wskórasz.

Ostrożnie poruszyłem palcami lewej ręki i ramieniem. W porządku. Uniosłem nogi. Dobra. Trzy z czterech kończyn miałem sprawne. Byłem ranny, ale żywy. I musiałem się wydostać z tej paskudnej pułapki.

Ale to zadanie graniczyło z cudem. Mokra, lepkie zapięcie pasa stawiało opór. Mocowałem się z nim dłuższą chwilę, aż zabrakło mi tchu. Dżinsy i kurtka przesiąkły na wylot, koszula przylepiła mi się do ciała. Byłem cały we krwi.

Szarpnąłem klamką. Bez skutku. Przemóżny strach ścisnął mi gardło, tłumiąc ból. Naparłem na klamkę resztkami sił. Metal zazgrzytał. Drzwi otworzyły się gwałtownie. Udało mi się wypchnąć nogę za próg. Wstrząs, jakiego doznałem, upadając na ziemię, wywołał paroksyzm bólu, który omal nie pozbawił mnie przytomności.

Przez chwilę widziałem jedynie oszalałego czerwonego potwora, który zżerał moje myśli, nim zdołały się uformować. W końcu poczułem, że ziemia jest zimna i mokra. Co teraz?

Muszę dostać się na szosę. O tej porze nie było ruchu, ale wcześniej czy później zerwany kabel przyciągnie czyjąś uwagę. Z wysiłkiem dźwignąłem się do pozycji siedzącej. Ile metrów podejścia dzieliło mnie od szosy? Wszystko tonęło w ciemności i w strugach deszczu ze śniegiem. Odgoniłem kolejną falę rozpacz. Wiedziałem jedno - szosa była w górze i tam musiałem dotrzeć. Stok porastały głównie sosny, spadająca ciężarówka wyłobiła ścieżkę w rzadkim poszyciu. Chodzenie nie wchodziło w grę, zostały ręce i kolana. Zacząłem czołgać się pod górę. Każdy pokonany centymetr zadawał mi przejmujący ból.

Ciężko ranny człowiek traci poczucie czasu. Zatraciłem też zwykłą umiejętność łączenia ze sobą zdarzeń, na podobieństwo niania koralików. Koraliki się rozsypały, na nitce zostało tylko kilka - nie pasujące do siebie odpryski faktów.

Jednym z nich był moment, kiedy ciężarówka spadła. Nie zastanawiałem się, na czym się zatrzymała. Może taka myśl tliła się gdzieś w tyle głowy i dlatego na odgłos złowróżnego skrzypienia za wszelką cenę chciałem wydostać się z szoferki?

Po raz drugi dotarł do mnie trzask i już wiedziałem. Pękały pode mną gałęzie.

W końcu zgasły światła ciężarówki. Skłębiona masa konarów i żelastwa zachybotła się, przekręciła i runęła zboczem w dół. Wpatrywałem się osłupiały w tę scenę, drżąc w porywach wiatru, które usiłowały mnie strącić w dół. To był świetny wóz.

Nie oplakiwałem go długo. Myśli snuły się po mojej głowie jak gęsty dym. Jednak mimo otumanienia nie zapomniałem o celu. Musiałem dostać się na szosę.

Wstrząsały mną dreszcze, przejmujące zimno powoli przenikało mnie na wskroś. Bez powodu przypomniał mi się nagle Zach. Myśli o synu wryły się na stałe we wszystkie pliki pamięci. A potem ukazał mi się anioł.

Ten fragment zdarzeń miał początek, środek i koniec; koraliki tym razem poukładały się w równiutki rząd. Ocuciło mnie ciepło. Otuliło mnie ze wszystkich stron i zogniskowało rozproszoną uwagę. Wraz z powracającą świadomością pojawiła się ospała, lecz wyraźna myśl, że to zbawcze ciepło nie jest zwidem. Znow zacząłem dygotać, storturowany bólem i stresem.

Spróbowałem unieść powieki. Twarz tej istoty była piękna, urodą bardziej egzotyczną niż anielską. Miała orientalne, szerokie kości policzkowe, lekko skośne oczy i pełne wargi. Mimo to przywodziła na myśl anioła. Jaśniała.

- A więc umarłem - wychrypiałem rozczarowany.

- Nic podobnego - pełne wargi wygięły się lekko w uśmiechu. Miała delikatny głos, słodki i miękki jak miód. Południowy akcent wydał mi się dziwny jak na anioła. - Wszystko będzie dobrze.

I tak jej nie wierzyłem, bo wszystko to było nieprawdopodobne.

- Pani jaśnieje - szepnąłem w zachwycie.

- To tylko latarka.  
- Nie, to pani - upierałem się.  
- Ma pan przywidzenia. - Położyła mi dłoń na czole. Misterna bransoletka musnęła mi skórę, zamigotały drobniutkie kamyki.

- Proszę nie zmarnować moich starań i zasnąć. Chciałem oponować, ale powieki nie chciały mnie słuchać. Odpląnąłem w ciepłą nicość.

- Cera blada, przyspieszony oddech - dotarły do mnie męskie głosy. Tarmosiły mnie czyjeś bezceremonialne dłonie. Gdzie podział się mój anioł? - Paznokcie zbieleły. Nic dziwnego, poleżał trochę na tym diabelnym zimnie.

- Puls?  
- Prawie niewyczuwalny. Znałem ten głos.  
- Pete - próbowałem się odezwać, ale z gardła wydobył mi się tylko głuchy jęk.

Pete Aguilar pochylał się nade mną. Przed laty on i mój brat Charlie chodzili do jednej klasy. Nieźle rozrabiali. Takie szkolne wygłupy.

- Wróciłeś? - Ścisnął mnie za ramię, na szczęście to lewe.  
- Tak trzymaj, bracie. Razem z Joe zaopiekujemy się tobą. Co cię boli?

Wszystko. Czuję się chory, oszołomiony i przerażony.

- Gdzie ona jest? - wychrypiałem.  
- Ben, powiedz, co cię boli.  
- Ramię. Głowa. Chcę... - próbowałem się podnieść, ale z mizernym skutkiem.  
- Hej! Nie ruszaj się, bo urazisz się w ramię.  
- Do diabła, chcę wiedzieć...  
- Jestem tu - usłyszałem blisko jej głos. - Proszę leżeć spokojnie i pozwolić sobie pomóc.

Nie miałem wyboru. Przewrócili mnie na bok. Spralbym ich za to na kwaśne jabłko, gdybym mógł się ruszać. Nie

starczyło mi nawet tchu, żeby zakląć, kiedy kładli mnie z powrotem na plecy. Chyba leżałem teraz na noszach.

- Masz, bracie, szczęście - zagadnął Pete beztrąsko.

- Szczęściarze nie spadają z szosy - mruknąłem.

- Jak masz zamiar znowu spadać, najpierw się upewnij, czy nie ma w pobliżu ratowniczkę medyczną. To ona udzieliła ci pierwszej pomocy, zanim przyjechaliśmy.

Jak to? Ratowniczkę, nie anioła? Zaraz, zaraz, przecież ratowniczkę nie jaśnieją!

- Zawiadom... urwał się kabel... niebezpiecznie... - wystękałem, nieco przytomniejąc mimo zamętu w głowie.

- Już się tym zajęli. Bierzymy cię do karetki, podłączymy ci tlen i kroplówkę. Poczujesz się lepiej.

Drugi sanitariusz zapinał pasy.

- Gotowy? - upewnił się Pete. - Na trzy. Raz, dwa... Dźwignęli nosze. Nie było sposobu, żeby mnie nie urazić.

Trwałem na krawędzi świadomości. Nie byłem pewien, czy się jeszcze obudzę. Ważyłem około stu kilogramów. Nie mogli mnie unieść tak po prostu. Rosły Pete trzymał przód noszy, ale po metrach pokonywania stromizny zrezygnował. Postawił ciężar na ziemi.

Zawyłem. Z całych sił walczyłem z ogłuszającą falą słabości. Potem usłyszałem głos mojego anioła. O czymś przekonywała. I najwyraźniej przekonała, bo chwyciła rączki noszy od strony głowy, tył zostawiając obu mężczyznom. Wtedy nie zdałem sobie z tego sprawy. Byłem świadom tylko bólu i tego, iż za wszelką cenę muszę zachować przytomność. Gdyż wiedziałem, że ona jest blisko i może mnie dotknąć.

- Uparciuch - szepnęła. Poczulem jej ciepłą dłoń na policzku. Podałem się i pograżyłem w ciemności.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Zdałem sobie sprawę, gdzie jestem, nim otworzyłem oczy. Izba przyjęć szpitala Fleetwood Memorial pełna była paskudnych zapachów, pikających monitorów i ludzi, którzy mnie nie słuchali.

- Głęboka rana cięta w obrębie obojczyka i pasa barkowego, uszkodzony mięsień ramienia. Pacjent skarżył się na ból głowy - wyliczał ktoś szybko.

- Był przytomny? Był z nim kontakt?

- Najpierw tak, ale potem zemdleł podczas transportu do karetki. Ciśnienie krwi stabilne. Tętno...

Głosy zlewały się w odległy szum. Głowa mi pękała, a ramię było jednym wielkim rwącym bólem. Wciąż czułem się słaby i wyczerpany, ale już nie tak otumaniony. Trudno mi było zebrać myśli, lecz nie mogłem znów odpłynąć, bo ci ludzie podjęliby decyzje za mnie. A tego sobie nie życzyłem.

- Nie użyliście kołnierza - zganił pedantyczny męski głos.

- Kołnierz należy zakładać w razie każdego wypadku drogowego.

- Samodzielnie wpełzł kilkanaście metrów pod górę - tłumaczył się Pete. - Chyba nie ma złamanych kręgów szyjnych.

- Połóżcie go na stole.

To oznaczało, że znów będą mnie przenosić. Otworzyłem ciężkie powieki i oślepiło mnie światło.

- Gdzie jest... - Maską tlenową zagłuszyła moje słowa. Ruchem głowy próbowałem się od niej uwolnić.

- Panie McClain... - Twarz mężczyzny wisiała chwilę nade mną w aureoli światła. - Jestem doktor Meckle. Miał pan wypadek i jest pan w szpitalu.

- Zdejmijcie mi to - wybełkotałem.

- Niech pan leży spokojnie. Rozetnijcie ubranie. - Doktorek wydawał polecenia tonem generała Shermana,

przyjmującego przemarsz swoich wojsk. - Pobierzcie krew na grupę.

Pielęgniarka wbiła mi igłę w zdrowe ramię. Skorzystałem, że nie było przywiązane, i szybkim ruchem zerwałem maskę tlenową.

- Gdzie ona jest? Ta ratowniczką?

- Przywiozło pana dwóch sanitariuszy - poinformował doktorek tonem irytacji, pomieszanej z wymuszoną pobłażliwością. - Stracił pan sporo krwi. Jest pan w szoku. Proszę leżeć spokojnie.

- On pewnie mówi o tej kobiecie, która go znalazła - wtrącił Pete. - Policjant kazał ją tu przywieźć.

- Co z nią? - nalegałem.

Doktorek przygwoździł mnie do stołu, zapobiegając nieporadnej próbie zerwania się z łóżka.

- Aguilar, jeśli już pan musi przeszkadzać mi w pracy, to proszę przynajmniej powstrzymać się od zbędnych uwag. - Głos doktora Meckle'a brzmiał sucho i kategorycznie. - Panie McClain - zwrócił się do mnie - obiecuję odnaleźć tę tajemniczą kobietę, kiedy pana stan na to pozwoli.

Ustałem, nie miałem wyjścia. Co jej się mogło stać? Przecież policjant przysłał ją do szpitala... Duncan. Dyżuruje nocami. Usłyszał o wypadku przez policyjne radio.

- Muszę...

- Musi pan poddać się leczeniu, które usiłuję panu zaaplikować. Jeśli nie będzie pan leżał spokojnie, będę zmuszony pana przywiązać. Siostró, proszę nałożyć pacjentowi maskę tlenową.

Sprawy przybrały niepomyślny obrót za sprawą doktora pedanta. Nie byłbym tak słaby i wykończony, gdyby nie jego upór i brak zrozumienia. Pielęgniarka bez trudu mnie pokonała i uciszyła maską. Postanowiłem przed kolejną rundą wzmocnić się kilkoma haustami tlenu.

- Stracił dużo krwi - mruzczał doktorek, dobierając się do mojego ramienia. - Jest w szoku, dlatego... O, do licha!

- Co takiego? - zainteresował się jeden z medyków, którzy otaczali mnie zwartym kręgiem.

- Proszę spojrzeć - wskazał moje ramię. - To nowa tkanka. A ta jest zablizniona. - Przyjrzał mi się z wyrzutem. - To wcześniejszy uraz, zgadza się? - Nachylił się i zdjął mi maskę tlenową. - Czy zranił się pan w ramię kilka dni temu?

- Nie. Widocznie gałąź je przebiła, kiedy wóz staczał się z góry.

- Niemożliwe.

Jasne, skoro tak się właśnie stało. Ale na spory z idiotami szkoda tracić tchu, a mnie ciągle go brakowało.

- Chcę zawiadomić brata, posterunkowego Duncana McClaina.

- Nie gałąź była przyczyną takiego upływu krwi - opierał się pedancik, ignorując moje życzenie.

- Nie! - Miałem dość bezwolnego poddawania się jego kretyńskim oględzinom. Zbierając wszystkie siły, uniosłem się na łokciu. Świat zawirował mi przed oczami.

- Facet sprawia kłopoty? - rozległ się głos od drzwi. Co za ulga! Cała złość mi przeszła i opadłem na poduszkę.

- Nic mi nie jest, Duncan - stęknąłem.

- Czyżby? - Mężczyzna, który utorował sobie do mnie drogę przez grupkę białych kitli, był niższy i szczuplejszy ode mnie. Miał regularne rysy i jasne oczy. Tylko włosy mieliśmy takie same, ciemnobrązowe i proste. Jego nieprzenikniona twarz w sam raz pasowała do gliniarza.

- Widzę, że masz się nieźle.

- Jasne - zapewniłem. Byłem wytrącony z równowagi, ale przestały mnie zalewać fale niemiłosiernego bólu. - Tyle że z ciężarówki została kupa złomu.

- Martw się teraz lepiej o siebie - kącik ust Duncana uniósł się nieznacznie.

- Chciałem do ciebie zadzwonić, ale te głupki...

- Spokojnie.

- Pacjenci w szoku zwykle są pobudzeni - wyjaśnił pompatyczny doktorek, siłąc się na wyrozumiałość. - Obawiam się jednak, że wojownicza postawa pańskiego brata utrudni leczenie. Zazwyczaj w tej fazie terapii nie dopuszczam rodzin do chorego, ale jeśli uda się panu go przekonać, żeby współpracował, może pan zostać.

Powstrzymać Duncana? A to dobre, prychnąłem w duchu.

- A co, stawia się? - z niewiadomych powodów Duncana to ubawiło, ale w głębi jego oczu czaił się niepokój. Odetchnąłem. Skoro brat zrezygnował ze swojej kamiennej twarzy, nie był zbyt mocno wkurzony.

- Ben, bądź grzeczny - nakazał.

- Ale ten facet to kretyn - wymamrotałem. Powieki zaciążyły mi jak ołów, wbrew mej woli. Dobra, już Duncan przypilnuje doktorka. - Powiedz Zachowi... niech się nie martwi.

- Powiem.

Dobrze, wszystko dobrze. Ciemność, jaka mnie ogarniała, przestała przerażać.

- I znajdź anioła - mruknąłem, zapadając w niebyt.

Lekarze i pielęgniarki to banda durniów. Po serii szturchnięć, nakłuc przy zakładaniu szwów, prześwietleń i faszerywania antybiotykami w końcu wcisnęli mnie w kunsztowny temblak i zawieźli do sali, gdzie mogłem się trochę zdrzemnąć. Oczywiście stale mnie budzili.

Mimo to po południu czułem się o wiele lepiej. Ale nikt nie interesował się, co mam do powiedzenia o swoim stanie. Raczej ich złościło, że się nie pogarsza. W końcu pedancik zniknął z horyzontu.

Przypomniałem sobie, skąd go znam. Dwadzieścia kilka lat temu Harold Meckle chodził do tej samej szkoły co ja, ale kilka klas wyżej. Już wtedy wyróżniał się inteligencją, może jest więc i dobrym fachowcem. Ale trzeba by mu przeszczepić osobowość, by stał się człowiekiem.

Na szczęście pojawił się mój lekarz. Doktor Miller nie widział powodu, by zaspokajać niezdrową ciekawość Harry'ego i kroić mnie. Wolał, jak to nazwał, konserwatywne podejście, co oznaczało zatrzymanie pacjenta na obserwacji. To z kolei znaczyło, że miałem zostać w szpitalu. Nie brak mi rozsądku. Rozumiałem, że spełniają swój obowiązek. Ale było mi to całkiem nie w smak.

Tuż przed kolacją do sali wparowała szczupła, niska blondynka, taszcząc plastikową torbę z supermarketu. Obszerny różowy sweter, który pomieściłby dwie takie jak ona, zakrywał - wiedziałem - krągłe pośladki. Znowu podcięła włosy. Nie wiedzieć czemu, zawsze nosiła krótkie. Były jasne, miękkie i lśniące. Była matką mojego syna i od trzech miesięcy żoną mojego brata.

- Przyniosłam ci książkę Samuela Adamsa, mam nadzieję, że jej nie czytałeś - zaszczebiotała. Cmoknęła mnie w policzek i cisnęła torbę na łóżko. - Masz tu magazyny, krzyżówkę i pizamy na zmianę. Wyglądasz lepiej, mimo tych paskudnych siniaków. Jak się czujesz?

- Jestem głodny. Gdzie Duncan? Z Zachem?

Zdrową rękę zanurzyłem w torbie. Pizamy były nowiutkie, jakbym nie miał żadnej w domu. Ciekawe, czy zrobi aferę, kiedy będę chciał jej za nie zwrócić.

- Duncan dostał wezwanie, a Zach jest z panią Bradshaw.

- Jak Duncan to przyjął? Nie jest wściekły?

- Może przesadziliśmy z tym uspokajaniem - uśmiechnęła się Gwen. - Pyta, czy zawieziesz go na biwak w ten weekend.

- Pewnie nastanie zima, zanim będę zdatny do użytku.

- Być może. Poczekaj do wiosny, jakoś to przeżyje. Ach, rozmawiałam z Edie. Pyta, czy może coś dla ciebie zrobić.

Zostawić mnie w spokoju. Jedna randka to nie dożywocie. Ale tego powiedzieć nie mogłem. Edie była przyjaciółką Gwen.

- A co z Annie? - zmieniłem temat. - Duncanowi udało się ją złapać?

Wiem, że Duncan zadzwonił do Charliego, naszego najmłodszego brata, ale Annie była nieuchwytna. Moja siostrzyczka zaszła się w wiosce w Gwatemali z mężem Jackiem, który pracował tam dla organizacji pozarządowej jako inżynier. ICA budowała szkoły i szpitale w krajach rozwijających się. Jack stawiał właśnie nową klinikę, a Annie uczyła dzieciaki w obskurnej szopie. Nie mogłem przywyknąć, że stale jest tak daleko.

- A, tak, zapomniałam. Rozmawiałam z nią po lunchu. Martwi się, ale wybiłam jej z głowy kupowanie biletu na samolot.

Chętnie bym ją zobaczył... ale to był egoizm. Była bardziej potrzebna tam, gdzie jest.

- Dawno chciałem to przeczytać. - Wyciągnąłem z torby książkę, którą przyniosła Gwen. - Dzięki. Ale o czymś zapomniałaś.

- O czym?

- O ubraniu.

- Gdybym je przyniosła, zaraz byś je włożył. Duncan rozmawiał z lekarzem. Ben, nie wciskaj nam ciemnoty. Zostajesz tu co najmniej dwa dni.

- Nie wyjdę ze szpitala bez zgody doktora Millera - starałem się zachować cierpliwość. - To porządny gość, w przeciwieństwie do tego idioty z izby przyjęć. Ale chcę mieć wybór.

- Dostaniesz ubranie, jak doktor Miller cię wypuści.

- Do diabła, Gwen, nie jestem dwulatkiem!

- Ale tak się zachowujesz. Masz wstrząs mózgu, stłuczone kolano, wielką dziurę w ramieniu i złamany obojczyk. Nigdzie teraz nie pójdziesz, a jak cię wypiszą, zabierzemy cię do siebie.

O nie, w żadnym wypadku!

- Mieszkacie na piętrze. Na razie nie dam rady wchodzić po schodach.

- Jeszcze cię nie wypisali. - Gwen zaczęła się krzątać, żeby na stoliku przy łóżku zrobić miejsce na rzeczy, które przyniosła.

Bez kłopotu weszła w rolę mojej bratowej. Traktowała mnie prawie jak siostra, czyli dość obcesowo.

- Pewnie byłem zbyt pokieraszowany, żeby Zach mógł mnie widzieć. Dlatego go tu nie przemyciłaś.

Gwen jako prawniczka wiedziała, że dzieci poniżej dziesięciu lat mają zakaz wstępu do szpitala.

- W takim stanie nie wrócisz do pustego domu. Nie ma mowy - powiedziała, kończąc układać kwiaty.

Z ulgą odwróciłem głowę na dźwięk otwieranych drzwi. Pewnie przyszli wyssać ze mnie kolejną dawkę krwi albo zadać nowe katusze, ale wolałem to niż zatroskany wzrok byłej kochanki.

- Przyjmujesz gości? - zagadnął od progu Duncan.

- Nie jesteś gościem, tylko... - głos uwiązał mi w gardle. Duncan znalazł mojego anioła!

Ale nie była aniołem, tym bardziej moim. Raczej Walkirią albo Amazonką. Wzrostem dorównywała Duncanowi, a ten liczył sobie ponad metr osiemdziesiąt. Niebieska bluza i żółta kurtka nie mogły ukryć jędrnych, krągłych piersi. Wytarte dżinsy opinały długie, kształtne nogi. Niesforna burza brązowych loków opadała poniżej ramion. Była silna, dorodna i kobieca w każdym calu. Takie ciało robi na facetach

piorunujące wrażenie. Wyglądała tak, jak zapamiętałem, tyle że nie jaśniała.

- Chyba się nie znacie - zagaił Duncan. - Ben, to jest Seely Jones. Seely, to jest Benjamin McClain. A to moja żona Gwen.

- Niespotykane imię - wykrztusiłem. Zatkąło mnie kompletnie.

- Moja matka jest niespotykaną kobietą - odparła Seely. - Masz wytrwałego męża - posłała uśmiech Gwen. - Miłego, ale bardzo upartego.

Gwen i Duncan wymienili porozumiewawcze uśmieszki.

- To prawda. Mam nadzieję, że jego upór nie sprawił ci zbytniego kłopotu. Miło cię poznać.

- Słyszałem, że cię tu leczyli - przerwałem te uprzejmości. - Ale nie wiem, na co.

- Ach, to. Chyba wystraszyłam policjanta, bo składając zeznanie zemdlałam. Czuł się zobowiązany mnie tu przywieźć.

Wydało mi się nieprawdopodobne, żeby taka kobieta mogła zasłać. Niedowierzanie musiało być widoczne, bo się roześmiała.

- Absurd, prawda? Mam to od dziecka. Nie za często i nie jest to objaw jakiejś śmiertelnej choroby, o czym z trudem udało mi się przekonać lekarza w izbie przyjęć. Widzę, że wracasz do zdrowia.

- Dzięki tobie. Hm... chciałem podziękować.

- Podobno nic nie dzieje się bez przyczyny - posłała mi zniewalająco słodki uśmiech, który wrył mi się w pa - mięć. - Nie przyszło mi jednak do głowy, że będę wdzięczna Vicowi.

- Vicowi? - zdumiałem się. - Nie mówisz chyba o Victorze Sorensonie.

- Nie? - Jej brwi uniosły się w udanym zdziwieniu. - A myślałam, że o nim.



Obcasy zastukotały, kiedy podchodziła do mojego łóżka. Znów się zdumiałem. Trzeba mieć odwagę, żeby przy takim wzroście nosić wysokie obcasy.

- Sorenson to menda - orzekłem.

- Zgadza się - wypowiadała słowa z łatwością, jakby nigdy się nie spieszyła. - Pracowałam tam jako kelnerka. Wczoraj mnie wylał. Dlatego tak późno wyszłam z hotelu. I tym to szczęśliwym zbiegiem okoliczności znalazłam ciebie. - Jej oczy pociemniały. - Nie zgadzaliśmy się co do dodatkowych świadczeń pracowniczych. Uważał, że jest jednym z nich. Ja wręcz przeciwnie.

- Pogadam z nim - obiecałem ponuro. Wizja jego łapsk obmacujących Seely wprawiła mnie w furję.

- Nie szukaj guza, bo będę cię musiał aresztować - ostrzegł Duncan, który przypomniał sobie, że jest policjantem.

- Rozważ wytoczenie mu sprawy - poradziła Gwen z fachową powagą. - Molestowanie seksualne jest przestępstwem, a wyrzucenie z pracy za odmowę podobnych żądań pachnie wygranym procesem.

- Nie wylał mnie za to, że nie chciałam z nim iść do łóżka. Poszło o sos.

- Sos? - parsknąłem śmiechem, ale ból przypomniawszy sobie. - Wylałaś mu go na głowę?

W jej oczach zapaliły się wesołe iskierki. W niezwykłych oczach. Nie z powodu koloru - niebieskiego, ładnego, ale zwyczajnego. Raczej z racji kształtu - wydłużonego, nieco figlarnie wygiętego w kącikach. Wyrażały ufność, jakby byli starymi przyjaciółmi, którzy rozumieją się bez słów.

- Spotkałem pannę Jones na stacji autobusowej - wyjaśnił Duncan. - Kupowała bilet do Denver.

- Wyjeżdżasz? - coś ścisnęło mnie za gardło.

- A co mam robić? Straciłam pracę.

- Ale dlaczego autobusem? A co z samochodem?

- Nawalił. Mechanik twierdzi, że poszła uszczelka albo cały silnik i że musi go rozebrać, co będzie kosztowało majątek.

- Może uszczelka pod głowicą - wyteżyłem umysł. - Albo sama głowica.

- Widzę, że mam do czynienia ze specem - przyznała z podziwem.

- No dobrze, ale co z meblami, ubraniem, garnkami, pościelą? Przecież nie weźmiesz tego do autobusu - wtrąciła Gwen, po czym oblała się rumieńcem wstydu. - Przepraszam, to nie moja sprawa.

- Pewnie nie, ale zwykle nie możemy oprzeć się ciekawości - skwitowała Seely z łaskawym uśmiechem. - Nie mam zbyt wielu rzeczy, kilka pamiątek i trochę ubrań. Susan się ucieszy, że nie zabieram wszystkiego.

- Susan? - Mój mózg pracował na zwolnionych obrotach.

- Kelnerka z hotelu. Razem mieszkamy, ale chyba nie ma nic przeciwko mojemu wyjazdowi. Miała oko na Vica. Cóż... - Wzruszyła ramionami, a jej piersi wykonały pełen wdzięku taniec. - Są gusta i guściki.

- Postanowiłaś wyjechać pod wpływem impulsu?

- Różne rzeczy robię pod wpływem impulsu.

- Nie ma więc specjalnego powodu wyjazdu do Denver? - naciskałem.

Jej twarz przybrała pytający wyraz.

- Mój brat i bratowa uważają, że będę potrzebował pomocy po wyjściu jutro ze szpitala... - ciągnąłem.

- Nie jutro, Ben - przerwała Gwen.

- Szpitale są niezdrowe. Tu łapie się różne infekcje. Może faktycznie będę potrzebował pomocnej dłoni...

Duncan prychnął, jakby tłumił śmiech.

- Proponuję ci pracę i mieszkanie do czasu naprawienia samochodu - wypaliłem.

- Ja... - Po raz pierwszy była zbита z tropu. - Nie planowałam naprawiania samochodu.

- Jeśli obawiasz się mieszkania z mężczyzną pod jednym dachem, to zapewniam, że nie należę do gatunku, który sprawia kłopoty.

Gwen mruknęła coś o gatunku, który sprawia kłopoty nawet na łożu śmierci, ale zignorowałam tę uwagę.

- Nie o to chodzi - pokręciła głową Seely.

- Więc w czym problem?

- Jest różnica między uporem a głupotą. - Mierzyła mnie wzrokiem. - Coś mi mówi, że tobie się ona zaciera.

Duncan wyszczerzył się w uśmiechu, Gwen zachichotała.

- Jestem szybki, i tyle - przyznałam, poważniejąc.

- Widzę, że nie odpuszczysz. Kompletnie nie dajesz mi szansy. Więc zgoda - westchnęła. - Biorę tę pracę.

- Świetnie.

- Pod dwoma warunkami. Po pierwsze, zostaniesz w szpitalu tak długo, jak każą lekarze. Po drugie, będziesz mnie słuchał.

- Zaraz, chwileczkę...

- On się zgadza - uprzedził mnie Duncan. - Prawda, Ben?

Kiwnąłem głową, wznosząc wymownie wzrok ku niebu. - Nie lubię wtykać nosa w nie swoje sprawy, ale powinieneś powiedzieć jej o Doofusie.

Seely uniosła brwi pytająco.

- To pies Zacha, mojego syna - wyjaśniłem. - Mieszka ze mną. To znaczy Doofus. - Poczulem wezbraną falę wyczerpania, coraz trudniej składałem słowa w zdania. - Zach jest w zerówce. Czasami wpada do mnie po szkole.

- Bierzesz sobie na głowę nie tylko wielkiego, krnąbrnego i burkliwego faceta. Ten ma przynajmniej nieco ogłady. Pies nie ma żadnej - wytłumaczyła Gwen.

- Dzięki za ostrzeżenie. Myślę, że poradzę sobie z psiakiem, jeśli Ben poradzi sobie z podporządkowaniem.

- W granicach rozsądku - zaznaczyłem, a kiedy skinęła głową, odetchnąłem z ulgą. - No to dogadaliśmy się.

Duncan był rozbawiony, Gwen uspokojona, a Seely...

Uśmiechała się, ale w jej oczach czaiła się rozterka. A ja? Czuję się zadowolony... przynajmniej na razie.

- Nie chcesz wiedzieć, ile będziesz zarabiać?

- Pieniądze nie mają dla mnie znaczenia.

- Hm... jesteś bogata?

- Oskarżano mnie o wiele dziwactw, ale nie o bogactwo - roześmiała się, odgarniając loki z twarzy. Przez chwilę zamigotały długie kolczyki z kolorowych szkiełek. Zerknąłem na jej przegub. Pamiętałem tę bransoletkę.

- Ładna bransoletka - zauważyłem.

- Dzięki - odparła, lekko unosząc brwi. - Kamienie odpowiadają czakrom. Wnioskuje z wyrazu twojej twarzy, że wiesz, co to czakry?

- Czytałem o tym - zbyłem ją. Kupa bzdur w stylu New Age. Ale nie powiem tego komuś, kto uratował mi życie.

Wszyscy nagle orzekli, że powinienem odpocząć. Fakt, byłem zmęczony.

I dopiąłem swego. Zostanę tu jeszcze jedną noc, a potem wrócę do domu. Nie sądzę, żeby doktor Miller zabronił mi tego, skoro będę miał fachową opiekę. Za nic nie odbywałbym rekonwalescencji w domu Duncana. Kocham swojego brata. Ale kocham też niestety jego żonę.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Tego ranka ptaki czyniły nieopisany zgiełk, mimo późnej pory roku. Zawsze kilka z nich zostaje na zimę.

Usiadłem na krawędzi łóżka i zerknąłem na swoje kolano. Nie mam pojęcia, jak je zraniłem. Nie pamiętam, żeby mi dokuczało, kiedy pełznałem pod górę. Teraz spuchło, podwajając swoje wymiary. Zdaniem lekarza, nastąpiło uszkodzenie tkanki miękkiej. Opuchlizna powinna zejść w ciągu kilku dni. Muszę to wytrzymać, powiedziałem sobie twardo.

Od łazienki dzieliły mnie dwa pokoje i pół przedpokoju. Sypialnie znajdowały się na piętrze, dlatego umieszczono mnie w przybudówce na tyłach domu. Mogłem myć zęby w plastikowej misce, ale nie będę siusiał do kaczki, z którą odesłano mnie ze szpitala.

Poza tym miałem ochotę napić się kawy. I czymś się zająć. Za telewizją nigdy nie przepadałem, a czytać lubię, ale nie przez cały dzień. Na stoliku przy łóżku tłoczyły się niezbędne akcesoria każdego chorego - woda, szklanka, tabletki przeciwbólowe i rzeczy, które przyniosła mi Gwen do szpitala. Także laptop, choć musiałem przysiąc na wszystkie świętości, że nie będę na razie pracował. I dzwonek, w razie gdybym czegoś potrzebował. Przespałem cały poprzedni dzień. I miałem tego dość.

Przy łóżku Doofus, powarkując, chwycił w zęby róg koca i zajadle z nim walczył. Z kuchni dobiegały przyciszone takty muzyki, szmer wody nad zlewem, otwieranie i zamykanie lodówki, odgłosy krzątania. Seely sprzątała po śniadaniu. Przyniosła mi do łóżka jajka i grzanki.

Nie mam pojęcia, dlaczego ludzie uważają śniadanie w łóżku za przyjemność. Ja miałem serdecznie dosyć gnuśnienia. Chciałem się ogolić, wziąć prysznic, pozbyć się zmiętej piżamy i włożyć ubranie. Chciałem pogadać z Mannym. Ale

moja kochająca i nadopiekuńcza rodzinka namówiła Seely, żeby pozbawiła mnie dostępu do telefonu.

Wstałem ostrożnie, uprzedzony, że zbyt szybkie ruchy mogą spowodować zawroty głowy. Uznałem, że miło jest słyszeć kobiecą krzątanicę w kuchni. Ciekawe, czy Seely narobiłaby rabanu, gdybym się tam zjawił.

Zabawne. Byłem w niezłym nastroju, jak na przeżyty kraksę ciężarówki i głębokie dziury w całym ciele. Dobrze jest być w domu. Przeżyć, żeby móc wrócić do domu.

Rozejrzałem się po pokoju. W przeciwieństwie do ugruntowanej w mojej rodzinie opinii, znałem granice rozsądku. Straciłem mnóstwo krwi, co znaczy, że gdy wstanę, będę słaby, a nawet mogę zemdleć. Z kolaniem niezdolnym do uniesienia moich stu kilogramów wagi, z ramieniem nie pozwalającym na użycie kul, z ciałem zbolałym i sztywnym oraz z niesfornym szczeniakiem tańczącym wokół mnie próba chodzenia powinna się skończyć niechybnym upadkiem. Ruszyłem.

Ostrożnie i powoli pokuśtykałem do jadalni.

W zmaganiu pamięci z logiką ta druga powinna wziąć górę. Kobiety nie jaśnieją. Byłem w kiepskim stanie, kiedy Seely mnie znalazła. Nie mogłem polegać na swoich zmysłach. Ale jedno wspomnienie nie było złudzeniem - jej kuszący uśmiech, figlarny błysk w lekko skośnych oczach, delikatny połysk skóry. Pamiętałem gorąco, które mnie przeniknęło. Miałem wiele pytań i nie mogłem pozwolić, aby uciekły jak spłoszone ptaki.

Wychodząc z łazienki, udało mi się ominąć Doofusa. Ale potem musiałem przytrzymać się kuchennej framugi, żeby złapać równowagę. Temblak amortyzował ból, ale kolano odmawiało posłuszeństwa.

Seely wycierała blat, nucąc. Miała na sobie dzinsy i niebieski sweter. Na widok kołyszących się w takt muzyki bioder zapomniałem na chwilę o rannym kolanie.

I wtedy zdałem sobie sprawę, że radio nadaje piosenkę, przy której tańczyliśmy pięć lat temu z Gwen, co skończyło się upojną rozkoszą w łóżku. Następnego dnia odszedłem.

Nabrałem tchu i wszedłem do kuchni. Doofus głośnym szczekaniem oznajmił nasze nadejście.

- Jak ty to zrobiłeś? - Seely odwróciła się gwałtownie.

- Co?

Doofus znalazł swoją miskę na wodę i zaczął chłeptać łakomie, jakby przez kilka dni przebywał na pustym. Powinienem go wypuścić, albo raczej poprosić o to Seely. Do diabła, nie lubiłem zależeć od innych w każdej drobnej sprawie.

- Podkradłeś się, choć ledwo chodzisz - powiedziała z pretensją.

- Bo jestem na bosaka. Przyszedłem napić się kawy.

- Przyniosłabym ci. Po to masz dzwonek.

- Nie chcę pić kawy w łóżku. Zawarliśmy układ, wszystko w granicach rozsądku. Trzymanie mnie cały czas w pościeli przeczy zdrowemu rozsądkowi.

- Niech będzie, skoro już tu jesteś - uśmiezkowi towarzyszył ruch brwi. Miała najbardziej ruchliwe brwi, jakie w życiu widziałem. - Czekaj, pomogę ci usiąść, bo mi tu jeszcze klapniesz.

Nie miałem wyboru. Objęła mnie ramieniem w pasie. Poczułem bijące od niej siłę i ciepło. Była niewiele niższa ode mnie. Jej włosy pachniały ziołami.

Chwiejnym krokiem dotarliśmy do stołu i musiałem przyznać, że z pomocą Seely było to łatwiejsze. I o wiele przyjemniejsze. W tyle głowy zaczęła mi kiełkować myśl,

której nie byłem gotów nawet rozważyć. Pracowała u mnie. Była zakazanym owocem i musiałem się z tym pogodzić.

- Kiedy cię zobaczyłem pierwszy raz, po prostu jaśniałaś - wypaliłem.

- W szoku umysł płata dziwaczne figle - skwitowała, ostrożnie sadzając mnie na krześle. - Ciekawe, czy często masz takie zwidy na trzeźwo?

- Prawie nigdy. - Obiegowa mądrość głosi, że kłamca nie patrzy w oczy. To głupie, bo każdy wie, że kłamie się w żywe oczy. Zabębniłem palcami po stole. - Powiedz Gwen, żeby Zach przyszedł dziś do mnie po lekcjach.

- Hm... - Postawiła przede mną kubek z parującą kawą. Zamigotały kamyki bransoletki.

- Stale ją nosisz?

- Co? Ach, bransoletkę. - Przysiadła z drugim kubkiem. - Dość często.

- Dlaczego nie chcesz porozmawiać z Gwen?

- Nie wchodzę między zwaśnionych eksmałżonków.

- Nie jesteśmy ani zwaśnieni, ani eks. Nie byliśmy małżeństwem.

Szykowałem się na pytanie, które musiało paść. Ludzie byli niezmiennie wścibscy, jeśli chodzi o mnie, Gwen, Zacha i Duncana.

- No to co? - Seely wzruszyła ramionami. - I tak zachowujesz się jak eks.

Nie myślałem o tym w ten sposób. Jej uwaga uspokoiła mnie, jakby jakiś brakujący fragment układanki znalazł właściwe miejsce.

- Dobra - pochwaliłem, pociągając łyk aromatycznej kawy.

- Dzięki.

- Zach miał dość niepewności w życiu. Chciałbym, aby przyjechał i zobaczył, że czuję się dobrze.



- Nie możesz sam porozmawiać z Gwen?
- Moja rodzinka ma wyrobione zdanie na mój temat. Uważają, że jestem mało odpowiedzialny.
- Może dałeś im powód, żeby tak uważali? - Oczywiście Seely śmiały się znad kubka.
- Nic podobnego. Nigdy przedtem nie byłem ranny. Zdarzały się szwy tu i tam, ale zawsze na noc wracałem do domu. Nigdy nie miałem wypadku.
- Nigdy? Nawet stłuczki?
- Potrząsnąłem głową, ze smutkiem myśląc o swojej zmiażdżonej ciężarówce.
- Wobec tego musiałeś ich nastraszyć. Pewnie tego sobie nie uświadamiają, ale założę się, że w głębi duszy uważają cię za niezniszczalnego.
- Czasem bywają nie do wytrzymania, ale nie są głupi.
- Uczucia nie zawsze podlegają prawom logiki. Zapewne w młodości uznali, że jesteś nie do zdarcia. Mieli tylko ciebie.
- Skąd wiesz? - Zmarszczyłem brwi.
- Kiedy wczoraj spałeś, przyszli goście. Manny Holstedder, chyba pracuje dla ciebie, i dwójka sąsiadów. No i oczywiście Duncan. Dzwoniło też kilka osób. Zrobiłam listę. Dzwoniła twoja siostra Annie i brat... Charlie, tak? I dwa razy Edie Snelling... - Seely zawiesiła głos, ostatnie słowa zabrzmiały jak pytanie.
- To przyjaciółka Gwen - mruknąłem. Są gorsze rzeczy niż była kochanka, która chce cię usidlić. Na przykład spadanie z góry. Ale, cholera, niech Gwen przestanie mi ją podsylać!
- Tak czy inaczej, wszyscy oni zapewniali mnie, że opiekuję się kimś niezwykłym. Jesteś niemal bohaterem.
- Na miłość boską...

- Naprawdę. Wszyscy mają cię za wspaniałego faceta. Opowiadali mi, jak sam wychowywałeś siostrę i braci, kiedy zginęli rodzice.

Omam nie oparzyłem się w język z zażenowania. Odchrząknąłem, nie patrząc na nią.

- Wracając do tematu, sądzę, że mogłabyś przekonać Gwen, że mój stan pozwala na wizyty Zacha. To jest... bo przecież nie zapytałem. Nie masz nic przeciwko pięcioletniemu brzdącowi?

- Oczywiście, że nie. Lubię dzieci.

- Ale nie masz własnych. Mówiłaś, że nigdzie nie zagrzewasz miejsca.

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła. - Przechyliła figlarnie głowę na bok; kilka loków wymknęło się ze związanego niebieską wstążką kucyka. - Rewanż za to, że tyle o tobie wiem?

Zachichotałem. Seely wzdrygnęła się leciutko, co nie uszło mojej uwagi.

- Zimno ci? Możemy włączyć ogrzewanie.

- Nie trzeba. - Potarła lewą dłoń, jakby nieobecna.

- Masz głęboki głos. Jakby wydobywał się z samego wnętrza. Patrz, Doofus stoi przy drzwiach i chce wyjść.

Podobał jej się mój głos. Tak należało odczytać owo wzdrygnięcie. Ucieszyła mnie ta myśl, podobnie jak oglądanie, jak niosą ją długie nogi. Ach, te nogi... Ten ruch bioder...

Otworzyła kuchenne drzwi i pies wyskoczył jak z procy do ogrodu.

- Jak znalazłeś Doofusa?

- Imię czy psa?

- I jedno, i drugie. Niecodzienne, prawda?

- Można to tak ująć. Nie, zostaw drzwi otwarte. Wpada w popłoch, kiedy są zamknięte, i zapomina, po co wyszedł -

tłumaczyłem, ale myślami błędziłem całkiem gdzie indziej, że facet może umrzeć ze szczęścia, kiedy oplatają go takie nogi. Seksualny brzęczyk nikomu jeszcze nie zaszkodził, ale musiałem się pilnować. - Wziąłem go ze schroniska na piąte urodziny Zacha. Weterynarz twierdzi, że jest mieszańcem basseta. Z przewagą mieszańca.

- Zach często przychodzi się z nim bawić?

- Dwa, trzy razy w tygodniu. Nastoletnia córka sąsiadów przyprawia go tu ze szkoły, jak dopisuje pogoda. Czasami czeka u pani Bradshaw, kiedy jestem zajęty.

- To twoja sąsiadka? Wpadła tu wczoraj dowiedzieć się, jak się czujesz.

- Opiekuje się dziećmi.

Nie chciałem, żeby Zacha wychowywał ktoś spoza rodziny. Ale pani Bradshaw była dobrą kobietą, a chłopiec ją lubił.

I, jak słusznie podkreślała Gwen, Zach miał się wreszcie z kim bawić, zwłaszcza z bliźniakami.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Pytanie?... Ach, o dzieci. - Doofus wpadł do środka. Seely zamknęła za nim drzwi, kucnęła, żeby go pochwalić i poklepać. - Nie, nie mam dzieci. Ani pasierbów, siostrzenic czy bratanków. Nie wyszłam za mąż i jestem jedynaczką.

Jak Gwen. Porównując te dwie kobiety, poczułem się nieswojo. Zmieniłem pozycję, prostując chorą nogę.

- Marzyłam, żeby mieć brata lub siostrę. Z kolei wiele osób z dużych rodzin marzy o byciu jedynakami. A ty?

- Zaledwie kilka razy dziennie. Zwłaszcza kiedy Annie i Charlie mieli po naście lat. Annie nie sprawiała rodzicom kłopotów, ale wystarczyło, że była dziewczynką. Dziewczynki w tym wieku to jeden wielki problem... - Potrząsnąłem głową.

- Czasami miałem ochotę ją wystrzelić na Księżyc albo

odesłać do klasztoru. Wychowywanie dziewczynek to koszmar.

- Jest dużo młodsza od ciebie?

- Jedenaście lat, najmłodsza z nas.

Nie byłem w porządku wobec Annie. Przez lata miała fobię, żeby opuścić Highpoint, a ja nawet tego nie zauważyłem. Prawdopodobnie dlatego, że chciałem ją zatrzymać przy sobie. Ale Jack był bardziej spostrzegawczy. Ożenił się z nią i wywiózł w szeroki świat. Teraz włóczy ją po nędznych wioskach, gdzieś na końcu świata. A ona to uwielbia.

- Jeszcze kawy?

- Nie, dzięki. - Potrząsnąłem głową. - Cholera, dzinsy mi chyba nie wejdą na to głupie spuchnięte kolano. W dolnej szufladzie komody powinien być dres i skarpety. Jak mi je dasz, wezmę prysznic i ubiorę się jak człowiek.

- Nic z tego... - przerwała, kręcąc głową. - Kto by przypuszczał, że taki z ciebie przebiegły krętacz.

- O co ci chodzi?

- Wiedziałeś, że cię zrugam za takie pomysły, bo masz pamiętać, co nakazał lekarz. W końcu zrezygnowałbyś z prysznicia i przekonałbyś mnie, że musisz się ubrać. Taka była strategia, prawda?

- Jesteś pewna, że nie masz braci?

- Ani jednego - zachichotała.

Ale najwyraźniej znała się na mężczyznach. Miała zapewne mnóstwo okazji obserwowania reakcji osobników mojego gatunku. Takie boskie ciało przyciąga jak lep każdego faceta. Seely łapie na haczyk ofiarę tym swoim leniwym uśmiechem i figlarnym mrużeniem kącików roześmianych oczu. Wystarczy, aby usidlić gościa na dobre.

- Pozwolisz mi się ubrać? - nalegałem.

- Wiedziałam, że będziesz się niecierpliwić. Ale przecież mam ci pomagać w rekonwalescencji, a nie przyczyniać się do pogorszenia.

- I pomagasz. A na pewno mi się nie polepszy, kiedy będę leżał w łóżku i wył z nudów!

Przyjrzała mi się bacznie przez chwilę, lecz tym razem brwi pozostały nieruchome.

- Koszula... - westchnąłem. - Sam nie dam rady. I temblak.

- Mogę cię wykąpać - zaproponowała nagle.

Targnęła mną fala gorąca na myśl o jej ciepłych, miękkich dłoniach przesuwających się wzdłuż moich ramion, klatki piersiowej, poniżej brzucha... O bliskości tych wspaniałych piersi...

- Nie, nie możesz.

Jak mówiłem, znałem granice.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Siedziałem bezradny na brzegu wanny, z gąbką w dłoni, wściekłym wzrokiem mierząc opuchnięte kolano. Udało mi się jako tako opłukać i utknąłem - nie mogłem dosięgnąć lewej stopy. Dudniło mi w głowie, chore ramię przeszywał rwący ból, a kolano pulsowało. Musiałem poprosić o pomoc.

- Jak ci idzie? - ubiegła mnie Seely, pukając do drzwi.

- Pamiętam, że jak złamałam nogę w kostce, nie radziłam sobie z pończochami ani butami.

- Otwarte - westchnąłem. - Jak złamałaś kostkę?

- Nie byłam grzecznym dzieckiem - zaczęła od progu.

- Spadłam z ogrodzenia, jak miałam siedem lat. Daisy musiała mnie obsługiwać, co uwłaczało mojej godności. Masz - wręczyła mi laskę z ciemnego sękatego orzecha.

- Duncan uważa, że ci się przyda.

Wyjęła mi z ręki gąbkę i sięgnęła do mojej stopy.

- Nie musisz tego robić - zaprotestowałem, próbując odzyskać stopę z jej dłoni.

- Przestań - skarciła, przecierając mi nogę gąbką. - To należy do moich obowiązków.

- Skończyłaś kurs pierwszej pomocy. Dlaczego nie pracujesz jako ratowniczką medyczna?

- Bo nie mogłam tego znieść. - Sięgnęła po ręcznik.

- A dlaczego twój brat ożenił się z matką twojego syna, a nie ty?

Kompletnie mnie zatkało. To był cios poniżej pasa.

- Przepraszam, nie powinnam o to pytać. - Osuszyła mi ostrożnie stopę. Wpatrywałem się w związane na karku, niesforne kędziory. Czułem się jak zbity pies.

- Nie przepraszaj. Sam się prosiłem. Napadłem na ciebie, bo nie lubię przyjmować pomocy.

- OK. Podaj mi skarpetkę.

Kiedy mi ją wkładała, czułem się jak ostatni dureń.

- Dziwne, że nikt z wczorajszych gości nie oświecił cię co do mnie i Gwen.

- Naprawdę przepraszam - uniosła ku mnie poważną twarz. - Zwykle nie bywam jędzą.

- Wcale nie jesteś jędzą - zapewniłem rozbawiony.

- Ale bywam, kiedy mnie poniesie - westchnęła.

- Mnie też ponosi, ale nikt nie nazywa mnie jędzą.

- Mam wrażenie, że ciebie zawsze nazywają wielmożnym panem, nawet kiedy dostajesz szału - zaśmiała się, wyzymając gąbkę nad umywalką. Podobał mi się ten śmiech. - Hm... Gwen mówiła, że znasz Zacha dopiero od kilku miesięcy. I że to jej wina.

- W równym stopniu jej, co moja. - Nie chciałem o tym rozmawiać, ale nie mogłem wyjść na drania, który zaniedbuje własne dziecko. - Nie wiedziałem o Zachu do marca. Spotkałem Gwen kilka lat temu na wakacjach, ale nam nie wyszło. A przynajmniej tak uznałem. Ona ma kupę forsy, pochodzi z bogatej rodziny. Źle sobie z tym radziłem. Odszedłem, a ona wyrzuciła mój adres. Kiedy się okazało, że jest w ciąży, nie wiedziała, gdzie mnie szukać.

- Jak dowiedziałeś się o Zachu?

- Gwen zachorowała na raka piersi. Wtedy wynajęła detektywa, żeby mnie znalazł.

- Miała raka?

- Teraz jest wszystko w porządku. Przed operacją przyprowadziła do mnie syna. I przy okazji poznała Duncana. Brat uznawał moje prawo pierwszeństwa do ślubu z Gwen. Ale ja zapiekłem się w gniewie, oskarżając ich o zdradę i bezpowrotnie zmarnowane marzenia.

- Dobrze, że mi powiedziałeś. - Seely położyła mi dłoń na kolanie. - Nie popełnię przy chłopcu gafy.

- Jeszcze coś. Jeśli Zach zacznie opowiadać o złym człowieku, strzelaninie i policjancie, to będzie prawda. Mówili ci o tym?

Oczywiście, pomyślałem z wściekłością, widząc jej pytające spojrzenie. Cholerna, wścibska banda! O tym, co ważne, nie mówią, muszę radzić sobie sam. Czerwony migacz na dachu radiowozu, ostre białe światło w sklepie, bandzior trzymający na muszce Gwen i Zacha... Zawiodłem ich. Na nic powtarzanie sobie, że nie mogłem nic zrobić. Gorycz klęski bezustannie mnie prześladowała. Seely powinna znać prawdę. Opowiedziałem jej więc o napadzie na sklep, o tym jak Gwen i Zach stali się zakładnikami i jak Duncan ich ocalił.

- Mój Boże... Mówiłeś, że Zach miał dość niepewności w życiu, ale nie podejrzewałam tak traumatycznych przeżyć! - powiedziała z przejęciem.

- I tak nieźle sobie z tym radzi. Gwen chodziła z nim do psychologa.

- A ty?

- Nie brałem w tym udziału.

- No właśnie. Nie ma nic gorszego niż bezradnie przyglądać się, jak ukochana osoba cierpi.

- Nie lubię plotkarstwa - uciałem z zakłopotaniem. - Uważałem, że powinnaś wiedzieć.

- To nazywasz plotkarstwem? - prychnęła Seely. - Żebyś wiedział, co ludzie opowiadają ratownikom! Znam niejednego sekret.

Czy dlatego czułem, że coś jest między nami, bo uratowała mi życie? Trawiłem tę myśl i doszedłem do wniosku, że ma sens.

- Wydaje mi się, że tobie też by się przydała terapia - skomentowała. - No, ale czas się ubrać. Najpierw zdejmę temblak.



Wstałem i łazienka zawirowała. Seely była blisko i zapach jej włosów wydawał się intensywniejszy.

- Obróć się trochę... O, tak - zręcznym ruchem zsunęła temblak.

- Oczywiście nie znam tyle sekretów co Daisy - rzuciłem.  
- Jej ludzie zwierniają się ze wszystkiego.

- Kto to jest Daisy? - Bez temblaka ramię rwało niemiłosiernie, podtrzymałem je więc zdrową ręką. - Przyjaciółka?

- Tak. I moja matka.

- Mówisz o matce po imieniu?

- No... Poradzisz sobie z guzikami, czy ci pomóc? Kusiała mnie myśl, by pozwolić jej rozpiąć piżamę.

Poddać się miękkiemu dotykowi, czuć muskanie jej palców na piersi...

- Poradzę sobie. Mówiłaś, że masz niezwykłą matkę.

- O tak, niezwykłą - zachichotała w sposób, który przyprawiał o dreszcz rozkoszy. - Była hipiską, dzieci kwiaty, wiesz, te sprawy. W pewien sposób nadal nią jest, choć zdobyła sławę jako artystka. Czasem z niej żartuję, że zagubiła się w latach sześćdziesiątych i nie może z nich wyjść. Najpierw chore ramię.

Zsunęła piżamę z ramienia spęczniałego od bandaży.

- Artystka? A co robi?

- Rzeźbi. Nazywa to, co robi, sztuką z odzysku. Niektórzy uważają te dzieła za kicz, ale miała nawet dwie wystawy w prestiżowej galerii w Taos. Szuka rzeczy, które ludzie wyrzucają na śmietnik, coś tam podmaluje, poskłada w przestrzenną kompozycję, a całość wykańcza jakimś ciekawym ozdobnikiem.

- Prawdziwa sztuka nowoczesna.

- Pewien krytyk nazwał ją „zachwycającym zderzeniem sztuki prymitywnej z XXI wiekiem”. Chybaby ci się

spodobała. - Cisnęła górę od pizamy na tył toalety i sięgnęła po flanelową koszulę, którą przyniosła.

- A ojciec? Co robi?

- Nie wiadomo. Kilka lat po moim urodzeniu woda sodowa uderzyła mu do głowy. Biedak. Nie wiem, czy się z tego wyleczył. Włóż tu rękę.

Wkładając ostrożnie ręce w rękawy koszuli, miałem dość czasu, żeby się zbesztać za brak taktu. O matce wspomniała kilka razy, o ojcu ani razu. Powinno mi to dać do myślenia.

- Czasem włożę z butami gdzie nie trzeba. Przepraszam - powiedziałem pokornie.

Zerknęła na mnie z ironicznym uśmiechem.

- Powinieneś udawać, że pod moją nonszalancją nic się nie kryje.

- Nie bardzo umiem udawać.

- I to mi się w tobie podoba - powiedziała miękko, jakby dotykała wielkiej tajemnicy.

Mnie się w niej podobało wszystko.

- Nie wyobrażam sobie, jak można być jedynakiem. Wokół mnie zawsze był tłum.

- Jesteś najstarszy, prawda? Duncan jest pięć lat młodszy. Teraz nie czuje się różnicy, ale była, kiedy dorastaliście. Nie bawiliście się razem, nie chodziliście na podwójne randki, nie robiliście tych wszystkich rzeczy, które wspólnie robi rodzeństwo.

- No nie, ale... Byli ważni. To znaczy, liczyło się dla mnie to, że są, że... do diabła. Nie wiem, jak to wyrazić.

- Byli częścią twojego życia. Kochasz ich. Skinąłem głową z ulgą, że pojęła.

- Nie dla mnie piękne słówka.

- Nieźle sobie radzisz... - urwała na chwilę, po czym podjęła: - Nie widziałam ojca od czasu, kiedy miałam osiem lat. On i Daisy nie byli małżeństwem.

Poczułem się zaszczycony, że powierzyła mi kawałek prywatności.

- Wiele stracił. Praktycznie wszystko, co ważne.

- Prawda? - obdarzyła mnie uśmiechem. - On więcej, bo mnie została Daisy.

Patrzyła na mnie swoimi fascynującymi oczami z nieukrywaną ciekawością. Zawładnęło mną nieodparte pragnienie, żeby posmakować uśmiechu prosto z jej warg. Serce podskoczyło mi w piersi. Żyłka na jej szyi niepokojąco pulsowała. Czyżby myślała o tym samym?

Rozsądek zwyciężył nad pożądaniem. Speszony zabrałem się do zapinania guzików, zapominając o chorym ramieniu. O mało nie upadłem.

- O, cholera, siadaj! - rozkazała, popychając mnie lekko na brzeg wanny.

Posłuchałem. Nie starczyło mi tchu, żeby zakląć.

- Nie będziesz mi tu mdłał - zapowiedziała stanowczo.

- Jasne, że nie - wystękałem. Paroksyzm bólu minął, ale byłem zlany potem. - Lepiej założyć temblak, to nie będę się zapominał.

- Być może - rzekła sucho. Dalsza konwersacja zamieniła się w instruktaż: - Obróć się, uważaj, przełóż tu rękę. Domyśliła się, że chciałem ją pocałować?

- Muszę zadzwonić do Manny'ego. Jest dobry, ale nie dopilnuje wszystkiego sam.

- Jasne - przyglądała mi się badawczo - pod warunkiem, że zadzwonisz z łóżka.

- Z kanapy w salonie - najeżyłem się.

Dzwonek do drzwi obudził z drzemki Doofusa, który ujadając zawzięcie, skrobał pazurami do drzwi łazienki.

- Nie ruszaj się - poleciła Seely. - Zaraz wracam. Rozważałem moralny aspekt sytuacji. Powiniennem jej

posłuchać, ale istniała przecież zdroworozsądkowa klauzula naszej umowy. Nie miałem komu wyłożyć swoich racji. Po pierwsze, zawroty głowy minęły. Po drugie, przedpokój był zaraz obok. Po trzecie, chciałem zobaczyć, kto przyszedł. Sięgnąłem po laskę.

Powoli, niezdarnie, wsparty na lasce, pokuśtykałem do przedpokoju. Seely zamykała drzwi, przytrzymując Doofusa nogą, by nie wyskoczył na ulicę. W dłoni podrzucała kluczyki. Na mój widok w jej oczach zawrzała gniew.

- Masz! - krzyknęła, rzucając we mnie kluczykami.

Na szczęście chybiła, nie wiem, celowo czy przypadkiem. Z brzękiem upadły na podłogę. Doofus podbiegł, by je obwąchać. Seely mierzyła mnie wzrokiem jak dzika kocica upolowaną zdobycz.

- Mechanik odniósł kluczyki od mojego wozu - warknęła.

- Jak rozumiem, wszystko załatwione.

- Wbrew mojej woli! - Iskry gniewu w jej oczach wybuchły płomieniem. - Ten typ, którego miałam za uczciwego mechanika, wręczył mi kluczyki i powiedział, żeby się o nic nie martwić.

- No więc się nie martw.

- Nie martw się? - Seely kipiała furją. Podeszła bliżej, przeszywając mnie pałającym wzrokiem. - To twoja sprawa. Zapłaciłeś za naprawę za moimi plecami.

- Nie chciałem, żebyś straciła samochód. Uratowałeś mi życie.

- Nie miałeś prawa! Nawet mnie nie zapytałeś!

- Gdybym cię zapytał, pewnie byś się nie zgodziła. A to by niekorzystnie odbiło się na moim zdrowiu.

- Na twoim zdrowiu niekorzystnie odbije się, jak cię spuszczę ze schodów - warknęła. - Albo dosypię trucizny do kawy. Albo... Cholera! Przestań się tak wstrętnie szczerzyć, bo zrobię coś, czego oboje będziemy żałować!

Miałem niezłą zabawę. Seely szalejąca gniewem - to dopiero był widok! Te rozognione oczy, wypieki na policzkach, zmarszczone brwi. Postanowiłem iść za ciosem.

- Jesteś urocza, kiedy się tak wściekasz - powiedziałem, bezczelnie patrząc jej w oczy.

Zaniemówiła, z na wpół otwartymi ustami.

- To uderzenie w głowę wywołało gorsze skutki, niż przypuszczał lekarz - syknęła.

- Urocza! - zachwyciłem się. - Jak rozzłoszczona kocica, która pokazuje pazury.

- A ty jesteś upośledzony umysłowo i fizycznie i tylko dlatego nie sprawię ci manta.

- No, jeśli masz zamiar mnie bić...

Gdzieś w zakamarkach mózgu błysnęła myśl, której nie zdążyłem sobie uświadomić. Zawładnęła mną przemożna chęć, zrodzona daleko poza obszarem racjonalności. Upuściłem laskę i przyciągnąłem Seely do siebie.

Miękkie wargi rozchyliły się przyzwalająco. Dreszcz rozkoszy przeszył mnie na wskroś, gdy do mnie przylgnęła. Uważając na ranny bark, objęła mnie jedną ręką w pasie, drugą złożyła mi na piersi. Zanurzyłem palce w gęstwie loków i przechyliłem jej głowę, wpijając się mocniej w pachnące słodyczą wargi. Otworzyła usta, wpuszczając mój natarczywy język. Ciepło jej ciała, pieszczota palców, miękkość warg, wyparły ból ramienia. Przywarłem do niej pożądliwie, zapuszczając się głęboko w jej usta. Nasze ruchliwe języki splotły się, sycąc się nawzajem smakiem rozkoszy. Wodziłem zaborczą dłoń po naprężonych plecach, badając cudowne zakamarki i krzywizny pośladków. Jej dłoń zachłannie wsunęła się pod moją koszulę.

Salon był blisko, a kanapa długa i przestronna. Nie odrywając warg od ust Seely, zacząłem się tam kierować.

I wtedy się poślizgnąłem. Wrzasnąłem z bólu. Doofus zaszczekał. Seely podtrzymała mnie w ostatniej chwili. Cudem nie upadłem. W dosłownym znaczeniu tego słowa, bo w duszy czułem się kompletnie upadły. Przerażony swoim zachowaniem, wyszarpnąłem rękę z jej dłoni i odsunąłem się. Serce łomotało mi jak szalone, kolano rwało, ramię pękało z bólu, a stopa... była mokra. Od pełnej hańby uratował mnie psi pęcherz.

- Ach! - Seely zakryła usta, żeby nie parsknąć śmiechem. Kucnęła i pogłaskała zawstydzonego szczeniaka. - Piesku, chciałeś wyjść, tak?

- Przepraszam - wybąkałem, porażony własną głupotą. - To się nie powtórzy.

- Czy siostra ci nie mówiła? - Popatrzyła na mnie, nie przestając pieścić psa, a potem wstała. - Nie przepraszaj kobiety za pocałunek, zwłaszcza jeśli ci go oddaje.

Uszy paliły mnie ze wstydu. Dygotałem z bólu, z podniecenia, wyczerpania i oszołomienia.

- Zaraz oskarżysz mnie o molestowanie w pracy - powiedziałem z rezygnacją. - I będziesz miała rację.

- Nie porównuj się z moim ostatnim szefem. - Uśmiech pojawił się w kącikach jej oczu i spłynął na wargi. Poklepała mnie po policzku, a potem podniosła laskę i wręczyła mi ją. - Powinieneś przeproszać tylko za wtrącanie się w sprawy mojego auta. Miałeś dobre zamiary, ale takie posunięcie było niedopuszczalne i aroganckie. Ile kosztowała naprawa?

- Nie wiem, to bez znaczenia.

- Chyba tak, skoro nie będę ci mogła oddać. Sprzątnę kałużę.

- Nie musisz mi nic zwracać - zaprotestowałem.

- Skoro tak - skierowała się do kuchni - samochód należy od teraz do ciebie. Załatwię formalności, jak szybko się da.

Nastroszyłem się. Groźba przepisania na mnie samochodu była irytująca, ale nie stanowiła problemu. Mogłem go przepisać z powrotem na nią. O wiele bardziej gryzłem się własnym postępowaniem. Annie, moja siostra, zarzuca mi często, że wszystko postrzegam w czarno - białych barwach. Być może. Ale tym razem dobro i zło było dość skomplikowane. Mężczyzna znający granice powinien postępować właściwie, choć jest to trudne. A może właśnie dlatego.

Całowanie Seely było ze wszech miar niewłaściwe. Pracowała u mnie. Była kobietą nastawioną na dawanie, zasługującą na więcej niż nędzne zaloty faceta zakochanego w innej. Wszystko to wiedziałem. Dlaczego więc ją pocałowałem?

Nie przyszło mi do głowy żadne przekonywające wyjaśnienie. Zbolały, umęczony i upokorzony, powlokłem się do łazienki. Jedno było dobre w tej całej idiotycznej sytuacji - stąpiłem w psią kałużę prawą nogą, a tę mogłem sobie umyć sam.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Bardzo cię boli? - dopytywał się Zach.

- Już nie tak bardzo.

- A jak boli? Tak? - Chłopiec zostawił niewielki odstęp między palcami. - Czy tak? - Rozłożył szeroko ręce.

- Mniej więcej tak. - Odmierzyłem palcami kilka centymetrów. - Bardziej wieczorem, kiedy jestem zmęczony.

- Kiedy ja jestem chory, też mnie bardziej boli wieczorem - stwierdził poważnie. - A jak to działa? - wskazał na temblak.

Siedzieliśmy na tarasie z tyłu domu, rozkoszując się być może ostatnim tego roku ciepłym popołudniem. Zach przysiadł okrakiem na moim zdrowym udzie. Chorą nogę opierałem na niskim stołeczku. Trzymanie kolana w wyprostowanej pozycji było pomysłem Seely. Przynosiło ulgę. Doofus leżał w pobliżu, ziając z nadzieją. Pokazałem synkowi, jak się mocuje temblak, i pozwoliłem mu go zapiąć kilka razy.

- Dasz mi się nim pobawić, jak już będziesz zdrowy? - pytał przejęty malec.

- Pewnie - odparłem z uśmiechem.

Bóg raczy wiedzieć, po co mu temblak. Mniejsza z tym. Ważne, że wierzył w moje wyzdrowienie.

Zach orzekł, że Doofus jest samotny, i zeskoczył pobawić się ze szczeniakiem. Dałem synowi ulubioną lupę i obaj pobiegli, żeby wypatrywać robaków. Patrzyłem na nich ze ściśniętym gardłem. Czy kiedyś powtórzy się jeszcze takie popołudnie?

W kuchni krzątała się Seely, gawędząc z Gwen. Obie najwyraźniej przypadły sobie do gustu. Niby dobrze, ale czułem się z tym nieswojo. Kobiety opowiadają sobie niekiedy niestworzone historie.

Nie mogłem zapomnieć o pocałunku. To nie znaczy, że stale o nim myślałem. Miałem głowę zaprzątniętą innymi



troskami - jak pocieszyć Zacha, jak zorganizować prace remontowe w hotelu bez wychodzenia z domu. Ale pamięć o pocałunku czaiła się wszędzie. Przypomniały mi o nim długie palce Seely, kiedy podawała mi lunch. Czujęm dreszcz na wspomnienie tych palców na moich plecach. Przypominał mi o nim płaczący się pod nogami Doofus. A także krzyżówkowe słowo „wybuch”, które natychmiast kojarzyłem z wulkanem i gorącą lawą, i znów powracała scena pocałunku. To mnie drażniło. Nie lubiłem, kiedy osaczały mnie niekontrolowane myśli. Może zatrudnienie Seely nie było dobrym pomysłem. Ale stało się. Teraz nie wypadało zmieniać decyzji. Po prostu muszę jak najszybciej stanąć na nogi. Seely przestanie być wtedy zakazanym owocem.

Zezłościła mnie ta podstępna myśl. Zabębniłem palcami o poręcz fotela. Kiedy Seely skończy u mnie pracę, prawdopodobnie wyjedzie z Highpoint. Przecież Duncan znalazł ją na stacji autobusowej. Nie będę namawiał tej odpornej kobiety do pozostania. Poniósłbym sromotną klęskę.

Poczułem ucisk w piersiach. Z głębi duszy wypelzło niespokojne uczucie, które dopadało mnie ostatnio dość często. Jeden nieopatrzny ruch mógł wszystko zniweczyć. Mimo to łaknąłem ruchu.

To był strach.

Pragnąłem Gwen, pragnąłem być z nią na zawsze. Oddałbym wszystko, żeby za mnie wyszła. Ale nic z tego. Zakochała się w moim bracie. Wiele razy w ciągu ostatnich miesięcy wmawiałem sobie, że trzeba rozejrzeć się za inną kobietą, lecz nie uczyniłem nic w tym kierunku. Zacząłem wręcz podejrzewać, że coś jest ze mną nie tak. Może jestem za stary na małżeństwo. Może mam za wysokie wymagania. Albo czegoś mi brakuje. Może bezpowrotnie zaprzepąściłem szansę na założenie własnej rodziny.

Siedziałem milczący w wiklinowym fotelu na tarasie, zmagając się z prawdą, której unikałem. Nie byłem pewien, czy poradzę sobie z kolejną porażką.

Popołudniowe promienie słońca wydobyły długie cienie z topoli rosnących wzdłuż płotu otaczającego ogród. Nie kosiłem trawnika od trzech tygodni. Trawa nie straciła co prawda barwy, ale przestała rosnąć. Zach i Doofus kopali pracowicie koło tylnej furki. Czy szukają złota albo diamentów? A może cała przyjemność polega na wierceniu wielkiej dziury w ziemi?

Miałem Zacha. Co prawda nie na co dzień, ale niektórzy ojcowie byli pozbawieni nawet sporadycznych spotkań ze swoimi dziećmi. Czyż nie mówi się, że trzeba cieszyć się tym, co się ma?

Drzwi za moimi plecami otworzyły się, wypuszczając z kuchni wspaniały zapach.

- Pomyślałam, że napijesz się słodkiej herbaty - powiedziała Seely, podając mi kubek. - To południowa tradycja.

- Chętnie, dzięki. Nie, Gwen, nie chcę kurtki. Seely usiadła w bujanym fotelu, Gwen zajęła wiklinowy koło mnie, z kurtką na kolanach.

- Nie chcesz, to nie. - Gwen przyjrzała mi się badawczo. - Masz rację, Seely, wygląda lepiej. Nie do wiary, jak wygrzeczniał.

- Dlaczego wszyscy uważają, że nie umiem o sobie zadbać? Robiłem to przez wiele lat. - Upiłem łyk herbaty. - No, co, naplotkowałyście się?

- Nie rób takiej skwaszonej miny. - Gwen błysnęła zębami w uśmiechu. - Pewnie myślisz, że nie mamy nic lepszego do roboty niż plotkować o tobie. Jak ci nie wstyd!

- Paplałyście ponad godzinę. Z mojego doświadczenia wynika, że to wystarczająco długo, żeby opowiedzieć sobie własne historie i zająć się obmawianiem innych.

- Nie martw się - zaśmiała się Seely. - Gwen nie puściła pary o twojej zmarnowanej młodości.

- Ben nie miał zmarnowanej młodości - zaprotestowała Gwen. - Jeśli w ogóle ją miał przy tylu obowiązkach na głowie po... - zawiesiła głos, zgromiona moim karcącym spojrzeniem.

- Rozmawialiśmy nie o tobie, ale o twoim domu - zmieniła temat Seely. - Lubię stare domy.

- Taaak? - odetchnąłem z ulgą. - Faktycznie, niewiele jest w okolicy takich okazów.

- Kiedy go zbudowano?

- W 1935 roku. Ale do budowy dziadek użył ocalałych fragmentów starszych budynków. Boazerie i obramowanie kominka mają około stu dwudziestu lat. Pochodzą ze starego burdelu.

- Coś takiego! - zaśmiała się Seely. - A schody? Też wyglądają na stare.

- Poręcz ma ze sto lat.

- To piękne, stare domostwo - zadumała się Seely. - Szkoda że takie zaniedbane, ale cóż, jak to mówią, szewc bez butów chodzi. Jesteś zbyt zajęty budowaniem innych domów, żeby zadbać o swój.

- O czym, do diabła, mówisz? - Aż uniosłem się ze złości w fotelu. - Wszystko tu jest tak jak trzeba!

- Może „zaniedbany” to niewłaściwe słowo. Po prostu sprawia wrażenie, jakby nic się tu nie zmieniło przez dwadzieścia lat.

Już otwierałem usta, żeby odparować cios, gdy nadbiegł upaprany Zach, mantrując swoje „mama - mama - mama!”.

- Chodźcie zobaczyć, jakiego robaka znaleźliśmy z Doofusem! Ty też, Seely - dodał uprzejmie. Umówili się, że będą mówić sobie po imieniu. - Jest fajny!

- Ty zostań - powstrzymała mnie Gwen, gdy sięgałem po kulę.

Westchnąłem z rezygnacją. Cała trójka podążyła w stronę tylnej furtki, gdzie Doofus zawzięcie grzebał w stercie ziemi. Miałem okazję porównać, jak różne są obie kobiety. Dorodna, promieniejąca energią, pełna życia Seely o głowę przewyższała drobną i śliczną Gwen o jasnych lśniących włosach.

Rozdrażniony zmarszczyłem brwi. Niby po co miałem coś w domu zmieniać? Wszystko działało bez zarzutu. To nieprawda, że nic nie wymieniłem przez dwadzieścia lat.

Kanapa i dywan w salonie mają nie więcej niż pięć lat. Fakt, że to Annie dręczyła mnie, żeby je kupić. No i co z tego? Taras dobudowałem sam, piętnaście lat temu.

Doofus zaczął uganiać się w kółko za własnym ogonem, co wywołało salwę śmiechu Seely. Ten lekko chrypliwy śmiech pobudził moją wyobraźnię. Pojawił mi się obraz rozbebeszonego łóżka, zmiętego prześcieradła i tej kobiety, unoszącej się rytmicznie nade mną, odrzucającej do tyłu włosy i roześmianej...

Zaraz, zaraz... Fantazje seksualne na temat Seely, kiedy Gwen jest tuż obok? Czemu nie, dlaczego mam mieć głupie skrupuły? Jestem winien rodzinie Gwen lojalność, i to wszystko. Mam prawo oglądać się za innymi kobietami. I lepiej, żebym zabrał się do tego jak najszybciej.

Ale najpierw muszę wyzdrowieć. Teraz nie mógłbym nawet zabrać kobiety do knajpy. Spochmurniałem na wspomnienie straconej ciężarówki. Trzeba się dowiedzieć, jaki numer szykuje mi ubezpieczyciel, zanim wypłaci odszkodowanie.

Telefon stał na stoliku koło mnie. Seely przyniosła go wcześniej na taras, żebym mógł porozmawiać z Mannym. Wprowadziłem kilka numerów do pamięci, kiedy kupiłem aparat kilka miesięcy temu.

Nie wszystko, do licha, było w tym domu takie stare.

Dobra, czas użyć umysłu w bardziej pożytecznym celu.

- Miło było cię zobaczyć, Seely - żegnała się Gwen, wciskając ręce Zacha w rękawy kurtki, której wcale nie potrzebował. - Nie, Ben, nie wstawaj. Nie odprowadzaj nas do samochodu.

- Dlaczego ludzie przy chorym zamieniają się w tyranów?  
- Potrząsnąłem głową z rezygnacją, odkładając laskę. Seely zachichotała, Gwen się skrzywiła, a Zach nalegał, żeby zabrać robaka do domu. Chcąc udowodnić, że stać mnie na kompromis, odprowadziłem ich tylko do drzwi.

- Mam nadzieję, że zobaczymy się w sobotę - czule poczochrąłem czuprynę syna.

- Też z nami jedziesz? - popatrzył na mnie zdziwiony.

- O Boże! - Gwen przewróciła komicznie oczami. - Na śmierć zapomniałam. Duncan miał ci powiedzieć, ale wczoraj spałeś, jak z tym przyszedł.

- Z czym?

- Zach był strasznie zawiedziony, że przepadł mu ten biwak z tobą. Dlatego Duncan wziął kilka wolnych dni i zabiera go.

Poczułem, jak wnętrzności przeszywa mi zimne ostrze. To ja miałem zabrać Zacha na biwak i nauczyć go traperskiego życia, tak jak nauczyłem kiedyś Duncana, a potem Charliego i Annie. Nasi rodzice nie dbali o takie sprawy, ale ja tak. Mój brat ma wszystko, dlaczego więc jeszcze zabiera mi syna?

- Tato? - głosik Zacha brzmiał niepewnie.

- Przykro mi, że mnie ominie biwak - próbowałem uśmiechem zatuszować wzburzenie. - Ale wszystko opowiesz mi po powrocie, dobra?

- Dobra!

Nie patrzyłem, jak odjeżdżają. Taką przyjąłem zasadę. Za każdym razem, kiedy Zach odjeżdża, zwłaszcza odwożony przez Gwen, przytłaczają mnie te wszystkie „co by było gdyby”. Nie trzeba pokazywać synowi własnych rozterek i udręczenia. Dzieci często obwiniają siebie, kiedy dorośli coś w swoim życiu schrzanią.

Zamknąłem drzwi dopiero wtedy, kiedy oboje siedzieli w aucie.

- To było trudne. - Seely stanęła za mną. - Świetnie sobie poradziłeś.

- Nic trudnego - mruknąłem zagniewany, że jest taka spostrzegawcza. - Moje kolano jest w lepszej formie - zapewniłem, kuśtykając do salonu.

- Nie mówię o kolanie. Wiesz o tym i chcesz mnie delikatnie odwieść od tematu. Szkoda. Już się prawie uodporniałam na te sztuczki.

Nie mogłem powstrzymać parsknięcia.

- Pierwszy raz ktoś nazwał mnie delikatnym. Zwykle słyszę tylko, że jestem gbur, impertynent, uparciuch albo arogant. Ale delikatny?

- Tu cię mam! - triumfowała. - Mamy ze sobą wiele wspólnego. Domyślam się, jak trudno jest osobie tak bezpośredniej jak ty krążyć wokół niewygodnego tematu. O wiele łatwiej jest ci powiedzieć wprost, co myślisz.

- I wpaść w kłopoty. - Dotarłem do kanapy i opadłem na nią z westchnieniem ulgi. Cholerne kolano. Ramię też nie lepsze.

- Kłopoty mogą być interesujące. Pomogę ci wyprostować nogę.

- Dam sobie radę sam.

- Wiedziałaś, że to powiesz - ironizowała. Nie zważając na moją naburmuszoną minę, podłożyła mi rękę pod łydkę i ułożyła zbolaną kończynę na kanapie. - Chyba jestem jasnowidzem.

- Możliwe. Najwidoczniej jestem jednak przewidywalny.

Zaśmiała się i usadowiła w drugim końcu kanapy, podkurczając pod siebie nogę. To była niespodzianka. Trzymała się na dystans całe popołudnie, chyba że czegoś potrzebowałem. Cóż, sam jestem sobie winien. Trzeba było nie wyrywać się z pocałunkiem. Teraz sztywna noga dzieliła nas jak bariera bezpieczeństwa. Z takiej pozycji nie mogłem się do niej dostać. Ciekaw byłem, co myśli.

- Przyjemnie patrzeć na was razem - odezwała się. - Masz hopla na punkcie swojego dzieciaka.

- Jasne. Każdy facet ma hop... - ugryzłem się w język przypomniawszy sobie, jak ojciec Seely potraktował własną córkę. - No, niektórzy są dupkami.

- Zgoda - w jej głosie zadźwięczała nuta gorzkości. Miała do niej prawo.

- Nienawidzisz go? - wypaliłem raptem. - To znaczy ojca?

- Ja... - zawahała się. - Do diabła, chciałam zaprzeczyć, bo nie jest wart nienawiści. Ale czasem... - Wzruszyła ramionami i nim odwróciła głowę, zdążyłem dostrzec głęboki żal w jej oczach. - Wiesz, z tym jest tak, jak z podstępny kolanem. Chodzisz kilka dni, a nawet miesięcy i nic. Aż nagle stajesz na nim całym ciężarem, a ono odmawia posłuszeństwa. Co jakiś czas wpadam w gniew. Głupie, nie? Mam trzydzieści dwa lata i powinno mi już dawno przejść.

- Nie wiem, czy istnieją jakieś zasady w tym względzie. Potrafimy kontrolować uczynki, ale myśli ani uczucia nie dają się ująć w sztywne ramki.

Gdyby było inaczej, nie wracałaby obsesyjna myśl o pocałunku.

- Podejrzewam, że ludzie cię nie doceniają - uśmiechnęła się, nieco zaskoczona.

Po chwili namysłu uznałem jej uwagę za komplement. Przyjrzałem się bacznie Seely. Nie wyglądała na spiętą, ale w jej oczach tlił się ledwie uchwytny cień smutku. Postanowiłem pożeglować na mniej bolesne wody.

- Powiedz lepiej, co byś tu zmieniła?

- Ja?

- Mówiłaś, że dom wygląda, jakby od dawna nic się w nim nie zmieniło.

- Odmalowałabym ściany - wypaliła.

- To się da zrobić - rozejrzałem się krytycznie.

- Są białe.

- No to co?

- Można by je pomalować na jakiś kolor. Na przykład czerwony.

- Żartujesz!

- Ta kanapa ma ładny ciepły brąz. Świetnie by grała z czerwienią. Niezły by też był zielony, ale głęboki, nie rozwodniony. Może dodać gzyms nad kominkiem, pasujący do obramowania. - Wyraźnie się ożywiła. - To uwydatni jego kształt.

- Mówisz jak wytrawna dekoratorka - łypnąłem na nią podejrzliwie.

- Przyznaję, że kręcą mnie te programy telewizyjne.

- W telewizji są programy o dekorowaniu wnętrz?

- Zdaje się, że nie jesteś fanem telewizji?

- Nie.

- Jest jeden kanał poświęcony tylko temu tematowi. Pokazują urządzenie mieszkań i ogrodów. Jak przemeblować kuchnię, pomalować ściany, wstawić okna, wszystko. Moja



przyjaciółka nazywa to babskim pornosem. Możemy patrzeć i ślinić się z zachwytu, ale nie możemy dotknąć.

- Rozumiem, więc chcesz się przynajmniej wyżyć w teorii. Dobrze, możemy się zastanowić. Może jasnozielony. Albo fiolet.

- Hm... fiolet?

- Jasne. Fioletowe ściany i położyć złocenia na gzymsie. Taki akcent bardzo wzbogaci wnętrze.

- Złocenia? Nie wpadłabym na to. Ale wtedy trzeba by koniecznie pomalować salon na czerwono, super byłaby chińska czerwień. Może mała pagoda w kącie?

Przez następne kilka minut zamienialiśmy salon w koszmar z czasów chińskiego imperium, dodając bambusowe meble, parawany z laki i latające smoki i lampiony; wszystko w najbardziej jaskrawych, orientalnych kolorach. Rozmowa przerodziła się w fachową dyskusję o stylach, przeróbkach oraz o tym, jak dodatkami nie naruszyć architektonicznej integralności budynku.

To była moja działka. Co prawda, sam nie machałem młotkiem, ale dobry budowlaniec musi umieć wszystkiego po trochu, od mieszania zaprawy po konstrukcję dźwigarów. Zresztą nie tyle chodziło o temat, co o samą rozmowę. Z Seely mógłbym gawędzić nawet o przepisach na konfitury z borówek, gdyby ją to ekscytowało. Wszystko, byle "móc patrzeć na jej promieniejącą twarz. Ta kobieta, tak zwykle pełna rezerwy, ożywiała się, rozmawiając o domach. Co było dość osobliwe jak na kogoś, kto żyje bez własnego kąta.

- A co z przybudówką? - Wtuliła się w kąt kanapy, z wyciągniętymi swobodnie bosymi stopami. Pasma włosów wymknęło się spod wstążki, tworząc na skroni i policzku ruchliwy znak zapytania.

- Pasuje jak pięść do nosa - skrzywiłem się z niesmakiem.

- Chciałem ją przerobić, ale jakoś nigdy nie miałem czasu.

Zbudował ją mój ojciec. Chyba nie zastanowił się, czy będzie pasowała do reszty domu.

- Nie zajmował się architekturą?

- Jak najbardziej, ale tylko tą sprzed trzech tysięcy lat.

- Dziwne. I nie przywiózł z wypraw archeologicznych do egzotycznych krajów żadnych pamiątek? Żadnych glinianych skorup, masek, amuletów?

- W sypialni stoi figurka Egipcjanki. Zaś wszystko, co nazwoził z wykopalisk, leży popakowane w skrzyniach. Nie wiem, co z tym zrobić. Słuchaj, co znaczy twój ugrzeczniiony wyraz twarzy?

- Mój? Ugrzeczniiony?

- Chcesz coś powiedzieć, ale hamujesz się z uprzejmości.

- Staram się być taktowna - zarumieniła się. - Mam wrażenie, że rodzice to drażliwy temat. Może dlatego, że odeszli i zostawili cię samego z rodzeństwem.

- Zrobiłem, co do mnie należało. I kropka. - Mój dobry nastrój w jednej chwili wyparował.

- Sprawdź piekarnik - wstała.

- Nie chciałem... cholera. Nie obrażaj się za każdym razem, kiedy zachowuję się jak osioł, bo w ogóle nie będziemy mogli rozmawiać.

- Nie obrażam się. - Poklepała mnie po ramieniu. - Nie mam pretensji, że stajesz się drażliwy, kiedy ludzie wścibiają nos w twoje sprawy. Czasami mam wrażenie, że twoje życie zamknęło się dwadzieścia lat temu. Jakby wszystko, czego od tamtej pory dokonałeś, w ogóle się nie liczyło.

Podsumowawszy w tych kilku słowach moją ziemską egzystencję, niespiesznie skierowała się do kuchni, kołysząc biodrami.

- Niedługo będzie kolacja. Przynieść ci tutaj?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, tak szybko wyszła. Co ja znowu takiego powiedziałem? Siedziałem Bóg wie jak długo,

gapiąc się bezmyślnie w ścianę. W końcu ocucił mnie ból ramienia. Poprawiłem wygodniej poduszki i czekałem, aż wygaśnie ogień.

Ta kobieta ma zwyczaj nokautować szokującymi uwagami i znikać, zostawiając mnie samego na placu boju z moimi racjami. Ale to się skończy, obiecałem sobie. Jeśli ma zamiar miotać pociski, niech nauczy się zbierania szczątków. Najwidoczniej nie miała zwyczaju przejmować się rumowiskiem, jakie zostawiała po swoich artyleryjskich salwach.

Wreszcie, wśród rozważań o chińskich ścianach i dynamicznych kobietach, moje wewnętrzne ja podjęło epokową decyzję, bez konsultacji z rozumem. Postanowienia natychmiast wprowadziłem w czyn i przez następne dni byłem najgrzeczniejszym pacjentem świata. Moja rodziną byłaby tym wielce zaniepokojona. Ale ja musiałem jak najszybciej wyzdrowieć i zwolnić Seely z pracy.

Aby wreszcie móc mieć ją w swoim łóżku.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Następnego dnia Manny wpadł na lunch. Podrzucił wybraną przez nas farbę i sprzęt malarski, a potem pomógł Seely wynieść meble z salonu.

Jak mogłem się na to zgodzić? Niezła z niej cwaniara. Z początku zachowywała się tak, jakby już miała moje przyzwolenie. Znałem ten trik, bo stosowała go Annie. Wymuszała, żebym przyznał, że muzyka jest ważna, napominając jedynie mimochodem o chęci spędzenia wieczoru ze znajomym. Potem udawała, że zgodziłem się, żeby pojechała z nim na koncert do Denver. Gdy opisałem Seely dziecinne zagrywki siostry, zamyślona orzekła, że musi ją poznać. Potem rozmawialiśmy o kolorach farb. Protestowałem, bo przecież nie płaciłem jej za malowanie domu. Nie mogłem pomóc, nie pozwoliłaby mi na to. Spytałem, czy kiedyś malowała.

- Nie - odrzekła beztrzesko. - Przesuniemy kanapę na środek pokoju, żebyś mógł nadzorować prace.

Wybraliśmy szarą zieleń.

Rozsiadłem się na kanapie, wyciągnąłem chorą nogę i patrzyłem spode łba, jak Manny i Seely wynoszą do jadalni ostatnie krzesła. Nie nadawałem się na nadzorcę.

- Może wyniosę resztę gratów? - spytał Manny, gdy wrócili, zerkając znacząco w moją stronę.

- Kanapa mi nie przeszkadza.

- Nie to miałem na myśli. Wargi Seely drgnęły.

- Manny uważa, że jest dowcipny - warknąłem.

Manny zarechotał złośliwie, niczym zacinający się karabin maszynowy. Wychodząc poradził Seely, by nie pozwoliła mi wejść sobie na głowę.

- Miałem ci powiedzieć, że rano dzwonił lekarz - dodał już w progu. - Wiesz, ten, który cię poskładał w szpitalu.

- Ten idiota?

- Ten sam. Uważa, że zraniłeś się w ramię kilka dni przed wypadkiem. Chciał, żebym to potwierdził - potrząsnął głową.  
- Dziwny gość.

- Fakt. - Skrzywiłem się, gdy Seely odprowadzała Manny'ego do drzwi. Harry Meckle był dziwakiem, ale nie idiotą. Przeciwnie.

Odezwał się dzwonek. Usłyszałem, jak rozmawiają z kimś przy drzwiach, i sięgnąłem po laskę.

- Siedź! - zawołała Seely. - To tylko przesyłka. Usłyszałem trzaśnięcie drzwi. Wróciła do" pokoju, taszcząc pudło.

- Lubię Manny'ego. Gdybyś mi wcześniej powiedział, tobym się tak na niego nie gapiła.

- Rzeczywiście, powinienem. Manny jest świetnym elektrykiem i brygadzystą, mimo nikczemnego wzrostu. Nie pomyślałem o tym, dla mnie to po prostu Manny, i już.

Z uśmiechem wręczyła mi pudło. Widząc logo w rogu, domyśliłem się, co zawiera. Nie chciałem go teraz otwierać.

- W skrzynce jest śrubokręt, odkręć wyłączniki.

- Szkoda, że nie masz pasa na narzędzia. - Zaczęła grzebać w skrzynce. - Czułabym się jak profesjonalistka.

Przymknąłem powieki na myśl o pasie z narzędziami wokół jej krągłych bioder. Podeszła do wejścia i zaczęła odkręcać wyłącznik.

- Lubisz czytać? Masz dużo książek o historii - zagadnęła.

Okazało się, że też lubi historię, choć czytała wolno ze względu na lekką dysleksję. Na szczęście przypadłość zdiagnozowano dość wcześnie. Opowiedziała o nauczycielu, który jej pomógł. Woląa beletrystykę historyczną niż dokument. Poprosiła, abym polecił jej coś z amerykańskiej historii, gdzie „nie byłoby za dużo opisów bitew”, bo bardziej interesują ją ludzie, a nie wojskowe akcje. Zaproponowałem,

że coś jej wypożyczę. Skończyła oklejać taśmą drewniane listwy, otworzyła puszkę i przelała farbę do kuwety.

- Spójrz, jaki intensywny kolor.

Zdjęła zasłony, więc światło z dwóch wysokich okien zalewało pokój. Stary malarski kombinezon zakrywał jej wspaniałą figurę. Bujne włosy splotła w ciasny warkocz. Twarz jej jaśniała, choć w całkiem ziemski sposób. Z przyjemności.

- Rzeczywiście - przytaknąłem.

Wiedziałem, czym skończy się zgoda na malowanie pokoju. Gdy zamaszyście pokrywała ściany szarą zielenią, opowiedziałem jej, skąd wzięło się moje zamiłowanie do czytania. Wspomniałem o niezrealizowanej szansie na karierę architekta, choć lubiłem pracę na budowie. Dręczyło mnie, że porzuciłem uczelnię przed ukończeniem studiów, jakbym przerwał rysowanie okręgu na ostatnim łuku. Zacząłem czytać, by uzupełnić edukację, i odkryłem, że lubię historię.

- Pełno w niej wspaniałych wydarzeń - zgodziła się, sprawdzając efekty swojej pracy. Malowanie wałkiem było skończone, czas na detale. - Daisy mówi, że trzeba poznać swoje pochodzenie, aby zrozumieć siebie - ciągnęła.

- Masz mądrą matkę. Nie domalowałaś kawałka w rogu na suficie - wskazałem uprzejmym gestem.

- A teraz podoba ci się? - Poprawiła i spojrzała na mnie przez ramię.

- Kto by się spodziewał, że masz taki talent! - Pokręciłem głową ze zdumieniem.

Podobała mi się bardzo, zwłaszcza kiedy się nachylała i kombinezon opinał jej krągłe pośladki. W przeciwieństwie do mnie z pewnością nie rozmyślała, co by było, gdybym rzucił się na nią i wziął ją tu, na płachcie malarskiej. Ani chybi bym zemdłał. Ponieważ nadal była moją pracownicą, nie dopuściłem do walki między zdrowym rozsądkiem a

optymistycznym požądaniem. Seely dokończyła malowanie, po czym przeciągnęła się, aż zatrzeszczały jej kości.

- Jak sądzisz, położyć drugą warstwę? - zapytała. Zmusiłem się, żeby dokładnie obejrzeć ściany.

- Wygląda bardzo dobrze - powiedziałem powoli.

- Owszem. - Wzięła się pod boki, podziwiając swoje dzieło. Na brodzie miała smugę farby wygiętą podobnie jak jej uśmiech.

- Czerwony też byłby niezły, ale zielony wygląda ekstra. Tak świeżo.

- Miałaś rację, w salonie powinno być kolorowo.

- Proszę, proszę - uniosła brwi. - Facet przyznaje, że się mylił. Zdziwiająca.

- Przecież masz braci - mruknąłem. - A raczej miałaś, bo pewnie wymordowałaś ich i pogrzebałaś ciała.

- Uważaj, bo skończysz z zielonym nosem - zaśmiała się.

- Jak twój?

Odruchowo podniosła dłoń ku twarzy.

- Wcale nie jest...

- Teraz już tak.

- Pewnie wyglądam jak dziewczynka malująca palcami.

- Nie. Jak wyjątkowo piękna kobieta, tylko trochę zielona.

Posłała mi niepewny uśmiech.

- Dlaczego nie wyszłaś za męża?

Spoważniała, jakbym nagle przekręcił niewidzialny ściemniacz.

- Zmieniasz zasady. Czujesz się bezpiecznie na tej kanapie?

Serce zaczęło mi walić. Nie rozumiałem, o co jej chodzi.

- Wcale nie, a ty?

Pokręciła głową, schyliła się po wąski pędzel do malowania przy listwach i usiadła na podłodze bliżej okna. Miałem czas, żeby zastanowić się, z jakiego powodu nagle

wpadliśmy w złość. Chciałem, żeby wiedziała bez cienia wątpliwości, że jestem nią zainteresowany, choć dotychczas nie wykonałem żadnego ruchu. Pragnąłem też odpowiedzi na swoje pytanie. Z początku nie wyglądało na to, że ją otrzymam. Seely skupiła się na malowaniu paska ściany przy listwie.

- Kilka lat mieszkałam z mężczyzną - odezwała się wreszcie, nie podnosząc wzroku. - Nazywał się Steven Francis Blois.

- Stephen Blois był królem Anglii i wnukiem Wilhelma Zdobywcy - odparłem po namyśle.

- Zawsze gdy Steven się przedstawiał, mawiał „zbieżność nazwisk” - prychnęła. - Gdy ludzie się dziwili albo pytali, o co mu chodzi, uśmiechał się i dodawał: „z byłym królem Anglii”. - Schyliła się i zanurzyła pędzel w farbie. - Z początku było to nawet urocze.

Odniosłem wrażenie, że nie miała innych mężczyzn, więc nabrałem odwagi.

- Stephen był słabym władcą. Pod jego panowaniem kraj się rozpadł.

- Stevenowi było obojętne, jakim królem był jego imiennik. Nie interesował się historią - zaśmiała się. - Był księgowym.

Brzmiało to bezpiecznie i nudno, podobnie jak budowlaniec.

- Chyba nie był w twoim typie - zaryzykowałem.

- A kto jest w moim typie? - Przesunęła się do kolejnego odcinka. - Miał otwarty, dociekliwy umysł, skłaniał się ku New Age. Medytacja, bębny, jasnowidzenie.

Czy od niego dostała tę bransoletkę? Zmarszczyłem brwi.

- Wciąż szukał zasad. Szufladkowanie zamiast odpowiedzi. Nie umiał uwolnić myśli, więc korzystał z gotowych szablonów.



- Już go nie kochasz?

- Powiedziałaś ci o Stevenie, bo zapytałeś, dlaczego nie wyszłam za męża. - Podniosła wzrok. - Zaangażowałam się w ten związek. Byliśmy ze sobą sześć lat, a mieszkaliśmy razem pięć. Skończyło się cicho, bez huk, dwa lata temu.

Steven Francis Blois musiał być idiotą, skoro przez sześć lat się z nią nie ożenił. A może to ona nie chciała wykonać decydującego kroku?

- Które z was chciało, żebyście zamieszkali razem?

- Widzę, że nie wyobrażasz sobie wspólnego życia bez ślubu - zachichotała.

- Nie chodzi o moralność, ale... - nie wiedziałem, jak ująć to taktownie, więc walnąłem prosto z mostu: - Dla mnie taki układ jest do chrzanu.

Nie wyglądała na urażoną.

- Pewnie z nikim nie mieszkałeś. A małżeństwo? Również nie zdobyłeś się na ten krok. - Oczy błysnęły jej rozbawieniem.

- Miałem kogoś na studiach, ale nic z tego nie wyszło. Potem przez kilka lat byłem zavalony robotą. Musiałem dać dobry przykład Charliemu i Duncanowi, rozumiesz. I Annie. Boże... - Potrząsnąłem głową. - Nie wiem, jak radzą sobie samotni rodzice. Nie miałem czasu ani siły na życie towarzyskie.

Nasłuchiwała czegoś przez chwilę, po czym wróciła do malowania.

- Annie była najmłodsza? Teraz jest dorosła.

- Zanim poszła na studia, nie spieszyłem się do stałego związku. Odwykłem od myślenia o małżeństwie. Wydawało się, że mam czas.

- Pewnie zauroczyła cię wolność, bo dawniej nie miałeś jej wiele.

- Potem zacząłem się rozglądać - wzruszyłem zdrowym ramieniem. - Ale byłem zbyt wybredny.

Przerwała malowanie i przyjrzała mi się poważnie. Błękit jej oczu był ciemniejszy, przygaszony, jak staw ocieniony drzewami. Ciekawe, czy myślała o Gwen i o naszym dziecku.

- A teraz? Naprawdę pragniesz małżeństwa?

- Mam czterdzieści lat.

Czekała. Cisza była znakiem, że nie odpowiedziałem na pytanie. Skrzywiłem się. Sam zacząłem ten temat.

- Pragnę małżeństwa. Dzieciaków, które wypełnią dom hałasem, deskorolkami, lalkami, znajomymi. Młodszego rodzeństwa, które da się we znaki starszemu bratu. I kobiety, z którą te dzieci wychowamy.

Kogoś, kto zagraci łazienkę babskimi rzeczami, będzie spał obok mnie i zostanie.

- Z dzieciaków wyrastają nastolatki - uśmiechnęła się. - Rodzeństwo cię nie zniechęciło?

- Nie było tak źle, czegoś się nauczyłem. - Miałem już dość poważnej rozmowy. - Jaką byłaś nastolatką? Szaloną czy pilną? Na pewno nie byłaś nieśmiała.

Zaśmiała się.

- Nie byłam kujonem, ale za bardzo nie szalałam. Nie chciałam martwić Daisy. Nie byłam zbyt rozsądna, jak wszystkie pewne siebie osiemnastolatki.

Przez chwilę gadaliśmy o szczenięcych latach. Miała szansę skończyć dziś malowanie. Nieźle, jak na nowicjuszkę. Oczywiście trochę pomogłem. Siedzenie na podłodze i malowanie paska ściany przy listwie nie zaszkodziło ramieniu. Seely protestowała, ale w końcu rozsądek wziął górę. Stała na drabinie i kończyła sufit, gdy zorientowałem się, co mnie dręczy.

Była otwarta i towarzyska. Snuła zabawne historie o dorastaniu i ekscentrycznej matce. Opowiedziała mi o

Stevenie, miłości swojego życia. Ale nie powiedziała, które z nich wolało wspólne mieszkanie od małżeństwa. Nie wspomniała też o powodzie wyprowadzki. Wyznała, że była zła na ojca, ale nie wymieniła jego imienia. Seely Jones była tajemnicza. Mogłem to uszanować, ale...

Zerknąłem nerwowo na pokrowiec przy kanapie. W zeszłym roku kupiłem nowego laptopa. Mogłem łączyć się bezprzewodowo z Internetem. Pierwszej nocy po powrocie ze szpitala zamówiłem w sieci kilka książek z ekspresową dostawą. Oczywiście mogłem kupić je w księgarni na Fremont Street i Sussanah by mi je podrzuciła. Albo wypożyczyć, przecież znam naszą bibliotekarkę od piątego roku życia. Muriel przyniosłaby książki do domu. Ale gdyby znajomi zobaczyli tytuły, byłiby zaskoczeni doborem lektur. A ja nie miałem ochoty nic wyjaśniać i chciałem uniknąć dyskusji o moim zdrowiu psychicznym.

Znalezienie się w towarzystwie doktora Harolda Meckle'a początkowo powodowało u pacjentów szok, ale jak mówiłem, nie był idiotą, tylko lekko odjazdowym facetem. Niektóre wydarzenia z górskiej kraksy nie trzymały się kupy, przynajmniej nie w realnych kategoriach. Musiałem dowiedzieć się czegoś na ten temat.

- Blois dał ci tę bransoletkę? - rzuciłem, kończąc malowanie kawałka w zasięgu ręki. Nie odwróciła się.

- Dlaczego pytasz?

- Mówiłaś, że kamyki odpowiadają czakrom, a Blois interesował się New Age.

- Daisy mi go dała. Taki prezent dla nastolatki.

- Interesuje się czakrami?

- Między innymi.

Postanowiłem nie drażnić dłużej. Dostałem jedną pewną odpowiedź - Blois nie dał jej bransoletki, której nigdy nie zdejmowała. To było już coś, choć chciałem wiedzieć więcej.

Może dla własnego dobra jestem zbyt uparty? Ciekawe, co Duncan powie na moją prośbę...

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Powiedz, jeśli nie chcesz tego robić - nagabywałem.

- Nie chcę.

Siedzieliśmy z Duncanem przy kuchennym stole, pijąc kawę. Seely szykowała się na górze. Mieliśmy wpaść do biura, a potem do marketu budowlanego. Zawsze wyglądała świetnie. Babki mają w tych sprawach zasady, choć każda stosuje własny kod, zrozumiały tylko dla kobiet. Annie, gdy majsterkowała, biegała po mieście w pochlapanych farbą dżinsach lub w kombinezonie, bez makijażu, z włosami byle jak wciśniętymi pod czapkę. W takim stroju można obsługiwać klientów albo jechać po benzynę, ale nie iść do sklepu spożywczego. Wiem, bo się wyklócała, gdy prosiłem o kupienie czegoś przy okazji.

- Nie pójde tak do spożywczego - odmawiała, choć ludzie nie raz widzieli ją w roboczym stroju.

Seely robiła się na bóstwo przed wyjściem do marketu. Niepojęte.

Wziąłem laskę, kubek i zdjąłem nogę z krzesła. Z kolaniem było lepiej, ale ciągle nie mogłem go zginać. Pokuśtykałem do blatu, gdzie stał dzbanek.

- Jeszcze kawy?

Duncan pokręcił głową. Był zmęczony, nie służyła mu praca na nocne zmiany. Wziął dwa dyżury pod rząd, żeby mieć wolne na wycieczkę z Zachem. Ale pogoda nie dopisała, w sobotnią noc ścisnął mróz i prószył śnieg. Patrzył, jak napełniam kubek.

- Co chcesz wiedzieć? Podejrzewasz Seely o kryminalną przeszłość?

- Nie, ale o czymś mi nie mówi.

- Nie o jednym - zbył z uśmiechem. - Od tysięcy lat kobiety nie mówią mężczyznom wszystkiego, ale policja nie wszczyna z tego powodu śledztwa.

Uważał, że moja ciekawość ma podłoże jedynie damsko - męskie. To mnie wkurzało, ale miał rację.

- Radzę ci jak brat, daj sobie spokój. - Duncan odstawił kubek. - Węsząc napytasz sobie biedy. Jak chcesz się czegoś dowiedzieć, wynajmij detektywa.

Wykluczone. Liczyłem, że to on dyskretnie poszpera tu i tam. Znajdzie na przykład imię jej ojca albo wskazówkę, dlaczego podejmowała zajęcia znacznie poniżej własnych umiejętności. Wcale nie chciałem, żeby śledził ją jakiś obcy facet.

- Zapomnijmy o sprawie. - Machnąłem ręką.

- Dziwne.

- Co?

- Twoje zachowanie, stary. - Duncan ruchem głowy wskazał dom. - Salon zawsze był biały.

- Więc pora, żeby zrobił się zielony. Nie leży ci?

- Może być, ale mnie zaskoczył. - W rozbawieniu uniósł kącik ust. - Jak dzieciaka, który wraca z internatu i odkrywa, że rodzice zrobili remont bez jego wiedzy.

Cholera, powinienem pomyśleć, że się tak poczuje. Charlie i Annie również. Ten dom to także ich spadek.

- Fakt, trzeba było was powiadomić - przyznałem. - Ten dom nie jest tylko mój.

- Jest twój.

- Jasne, że tak. Rodzice zostawili go nam wszystkim.

- Dwadzieścia lat temu. Ty tu mieszkałeś cały czas i zajmowałeś się nim. Jest twój - odetchnął głęboko. - Rozmawialiśmy o tym z Gwen. Chcę przepisać swoją część na ciebie.

- Daj spokój. - Postawiłem kubek tak gwałtownie, aż rozprysnęła się kawa.

- Zapłacisz podatek, ale jej zdaniem można go obniżyć.

- Nie słyszałeś? To, że twoją żonę stać na dziesięć takich domów, nie znaczy, że mam brać jałmużnę.

Duncan zerwał się na równe nogi.

- Ta sprawa nie ma nic wspólnego z pieniędzmi Gwen! Wysłuchasz mnie, zakuty łbie?

- Czego miałbym słuchać?

- Hola! - krzyknęła Seely. Zaskoczony spojrziałem w stronę drzwi. Stała w progu, kręcąc głową. - Nie podsłuchuję, ale Ben ryczy jak ranny łoś. Słyszeć go aż na schodach. - Zmierzyła mnie twardym spojrzeniem. - Naprawdę uważasz, że Duncan chce ci przekazać swoją część domu, bo lubi szastać pieniędzmi Gwen?

- Nie, ale... - urwałem speszony.

- Zaczekaj - stanęła przed Duncanem. - Sądysz, że Ben przyjmie twoją część spadku?

- Nie o to chodzi.

- Jemu tak. - Oparła ręce na biodrach, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego. - Oczywiście to nie moja sprawa, ale jest proste rozwiązanie. Ben mieszka tutaj, a Duncan nie. Nie wiem, jak stoisz finansowo, ale mógłbyś wykupić udział Duncana.

- Jasne. - Liczyłem w myślach. W ostatnich latach interesy szły dobrze, nie należałem też do rozrzutników. - Trzeba wycenić dom, ale mniej więcej znam jego wartość rynkową.

- Nie chcemy brać pod uwagę obecnej wartości rynkowej - pokręcił głową Duncan. - Dom jest wart trzy razy więcej niż dwadzieścia lat temu. Nie chcemy na tobie zarabiać. Charlie proponował...

- Rozmawiałeś z Charliem? To spisek?

- Z Annie też. Chcieliśmy się z tobą spotkać, ale się wygadałem.

- W grupie bezpieczniej, wojskowa taktyka - zaśmiała się Seely.

Zerknąłem na nią. Czy wiedziała, że do niedawna Duncan był żołnierzem?

- Skoro się zmówiliście - ciągnąłem - nie oddawajcie mi udziałów w domu za darmo. Może nie potrzebujecie pieniędzy, ale Charlie tak.

Charlie każdego centa topił w spółce zajmującej się architekturą krajobrazu. Duncan zmarszczył brwi. Dałem mu czas do namysłu.

- Widzę, że jesteś gotowa - zwróciłem się do Seely. Wyglądała odjazdowo. Wspaniałe włosy rozsypały się na ramionach i plecach. Makijaż podkreślał zmysłowość oczu, karminowa szminka uwypukliła kuszący kształt pełnych warg. Włożyła ciemne dzinsy i sweter w czerwone, fioletowe i żółte wzory. Pasował, jak ulał. Moje ciało zareagowało na ten widok nagłym pobudzeniem. Przez ostatnie dni wciąż trwało w stanie podwyższonej gotowości.

- Wezmę kurtkę i torebkę - powiedziała, idąc do holu.

- Ja też się zbieram. - Duncan wziął ze stołu pusty kubek.

- Co kupujecie?

- Chcemy wstawić kilka półek do biura.

- „My” oznacza, że to twój pomysł?

- Dobra, jej. Dziewczyna po prostu pali się do majsterkowania i remontu.

- Muszę podziękować Seely. - Duncan wstawił kubek do zmywarki.

- Powtórzę jej, że smakowała ci kawa.

- Nie za kawę - zerknął na mnie wesoło.

Jako pasażer we własnym aucie czułem się nieswojo. Furgon miał dziesięć lat, ale był w dobrym stanie. Elektrycznie otwierane szyby i drzwi, wspomaganie



kierownicy, obszerne tylne siedzenie... Miałem kosmate myśli. Pożądanie obudziło we mnie nastolatka.

Seely prowadziła we właściwy sobie, niespieszny sposób.

- Jak mogłam dać się namówić, żeby zawieźć cię do biura? Nie powinieneś jeszcze pracować.

Uściśliłem, że nie pracuję, tylko nadzoruję. Nie zamierzałem jechać na budowę.

- Myślisz, że dostaniesz za to odznakę harcerską? - spytała ze śmiechem.

Nie było po niej widać, żeby z powodu pożądania zarwała noc, czy nękały ją głupie pomysły.

- Gapisz się na mnie.

- Lubię sobie popatrzeć.

Zarumieniła się. Zamilkłem, uważając, by nie zdradzić się z zamiarami. Jest moją pracownicą i seksualne podteksty są nie na miejscu. Instykt samozachowawczy nakazywał powściągliwość.

Podobał mi się ten rumieniec. Ostatnie trzy dni wciąż się zastanawiałem, co też mogło roić się w jej głowie. Między nami przepływał wartki strumień nieokreślonej energii. Kilka razy przyłapałem ją, jak mi się przygląda. Za dwudziestym razem założyłem, że chce mieć ze mną romans, kiedy tylko przestanie nas łączyć stosunek pracy. Za czterdziestym nabrałem pewności.

Zatrzymaliśmy się i otworzyłem drzwi.

- Dasz radę? Dźwiganie półek to ciężka robota. We dwoje byłoby łatwiej, ale wiele ci nie pomogę.

- Nie będziesz musiał - odparła, obchodząc samochód.

Burknąłem coś pod nosem. Nie było sensu wspominać, że w pewnych chwilach dwie pary rąk bywają nieodzowne. Zwolniła, żeby dotrzymać mi kroku. Nie kulałem, pod warunkiem, że nie próbowałem prześcignąć ślimaka.

- Mam szansę uczyć się od eksperta. Nie przegapię okazji.

- Ekspert radzi zakup czerwonego dębu. Jest trudny w obróbce, ale pięknie wygląda... - przerwałem, zawstydzony stanem mojego biura.

- Ale tu bałagan.

Podreptałem na lewo, gdzie leżała tarcica. Chciałem sam wybrać drewno. Oczywiście nie dalibyśmy rady zabrać go do domu bez ciężarówki. Ale żeby cokolwiek wybrać, musieliśmy uporządkować pomieszczenie.

Biuro znajdowało się w dawnej sypialni rodziców. Usunąłem łóżko miesiąc po ich śmierci, bo nie mogłem patrzeć, jak czeka na nich starannie zaścielone. Annie zabrała komodę. Nigdy nie uporządkowałem reszty gratów.

W markecie najbardziej lubiłem dział tarcicy i alejkę z narzędziami. To przez zapachy ciętego drewna, trocin i żywicy.

Ed zauważył temblak i laskę, więc musiałem mu wszystko opowiedzieć. Potem upewnił mnie, że miałem szczęście, uchodząc z życiem, w końcu przyjął zamówienie. Ustaliłem, że odbiorę je za kilka dni. - Zdążę posprzątać biuro - powiedziałem Seely, gdy z kwitem kierowaliśmy się w stronę kas. Szliśmy wolno, bo zatrzymywała się, by obejrzeć próbniki farb i artykuły oświetleniowe.

- Nie ma dużo do zrobienia, nie musimy usuwać wszystkiego. Masz kilka porządnych sprzętów, jak ten stolik z lwimi nogami.

- Zrobiłem go, mając szesnaście lat - uśmiechnąłem się z zadowoleniem.

- Żartujesz!

- Na warsztatach. To był gwiazdkowy prezent dla mamy, próbowałem skopiować fotografię z magazynu. Spędziłem nad tym wiele godzin po zajęciach. Miałem też pomocnika. - Przypomniałem sobie twarz pana Nelsona. Miał anielską

cierpliwość i zostawał dłużej, żebym mógł pracować w warsztacie. - Od lat nie myślałem o panu Nelsonie.

- To twój nauczyciel?

- Przeszedł na emeryturę, gdy skończyłem szkołę. Przeprowadził się do Albuquerque, bliżej siostry. Był starym kawalerem. Odwiedziłem go raz przejazdem. - Zamilkłem, przypominając sobie tę wizytę. Było mi szkoda staruszka, mieszkał samotnie i miał tylko siostrę. Nagle ujrzałem własną, jakże podobną przyszłość. Przypomniałem sobie, że mam Zacha, przynajmniej przez pewien czas.

- Co się stało?

- Nic - skierowałem się do najbliższej kasy. - Dziwne, że wieczny podróżnik tak interesuje się wyposażeniem domu.

- To dla mnie pasjonująca nowość i tyle - wzruszyła ramionami.

Nagle twarz jej znieruchomiała. Patrzyła na coś ponad moim ramieniem. Odwróciłem się. Ktoś się na nas gapił. Starucha o wzroście Seely, ale chuda jak wysuszona fasolka szparagowa, stała kilka metrów za nami. Wyglądała jak wyjęta z lat pięćdziesiątych, włącznie z pantoflami i perełkami na szyi. Miała wełniany granatowy płaszcz i natapirowaną trwałą na siwych włosach.

- Co tu robisz? - warknęła jadowicie.

- Kupuję tarcicę. - Głos Seely ani drgnął, a twarz była blada i obojętna. - A ty?

- Nie wymądrzaj się! Mówiłaś, że wyjeżdżasz. Nie chcemy cię tu, nie dostaniesz ode mnie złamanego centa!

- Nigdy nie chciałam twoich pieniędzy. - Seely zaczęła się odwracać.

- Słuchaj, jak do ciebie mówię, szelmo! - naskoczyła na nią kobieta. - Nie pozwolę ci znów mącić w głowie Johnowi. Był taki nieszczęśliwy.

- Pani Lake - powiedziałem głośno. - Wie pani, jak córka się martwi?

Ucichła. Była tak skoncentrowana na Seely, że mnie nie zauważyła. Niebieskie oczy zamrugały zza okularów.

- Ja nie...

- Wiem - rzekłem uspokajająco. Przełożyłem laskę do lewej ręki i wziąłem ją pod ramię. Poczulem bolesne ukłucie w barku. - Nie czuje się pani najlepiej, ale leki na pewno pomogą. Nie może się pani wałęsać, bo Melly odchodzi od zmysłów.

Patrzyła na mnie jak na wariata.

- Zabierz łapę albo każę cię aresztować.

- Już wywołała pani zbiegowisko - szepnąłem. - Ale jeśli lubi pani sceny, proszę wrzeszczeć.

Powiodła wzrokiem po gapiących się ludziach. Kasjer przerwał obsługę klienta. Kobiecie wystąpiły czerwone plamy na szyi.

- Zajmę się nią - rzuciła Seely z tyłu.

- Nie musisz. Kobieta zatrzymała się.

- Pożałujesz, że się wtrąciłeś. Powiem sędziemu, żeby się tym zajął. A co do ciebie... - Wychyliła się, oczy błyszczały jej ze złości. - Trzymaj się z dala, szatański pomiole.

Wyrwała ramię z mojego uścisku i odwróciła się z nadętą miną. Patrzyłem za nią, aż wyszła. Seely stała nieruchomo z zaciśniętymi ustami i rozbieganym wzrokiem.

- Wybacz, nie wiedziałam. Zaskoczył mnie jej widok.

Nie naraziłabym cię na tę scenę, gdybym wiedziała, że ona... - Przełknęła ślinę.

- Jakoś się wykręciłem. - Wziąłem ją pod rękę. - Chodź.

- Co z drewnem?

- Daj kwit - skinąłem głową na kasjerkę. Kolejkowicze rzucali mi gniewne spojrzenia. - McClain Construction. Proszę nabić na kasę, zachować albo wyrzucić. Zadzwoń.

Przeszedłem przez rozsuwane drzwi szybciej niż przed wypadkiem. Nie myślałem o kolanie. Musiałem ratować Seely przed natarczywymi spojrzeniami ciekawskich.

Ze zdenerwowania nawet nie wspomniała o moim kolanie ani barku, za to stwierdziła, że jestem arogancki.

- Wracamy do domu, tam możesz krzyczeć, płakać i rzucać, czym chcesz.

- Nie będę płakała.

- Tak myślałem, wolisz ciskać rzeczami. - Otworzyłem drzwi dla pasażera.

- Czekaaj, ja prowadzę.

- Nie. - Okrążyłem samochód. - Prawa noga i lewa ręka poradzą sobie ze wspomaganą kierownicą i hamulcami. Nie wiem, jak namówiłaś mnie na jazdę w roli pasażera.

- Mam kluczyki. Nie będziesz prowadził, Ben.

- Masz jeden zestaw. - Otworzyłem drzwi, wrzuciłem laskę na tylne siedzenie i ostrożnie usiadłem za kółkiem. Kolano zabolalo. - Jedziesz?

Trzasnęła drzwiami, ale wsiadła.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Seely milczała dłuższą chwilę, sztywna i spięta. Obmyślałem strategię, jak ją podejść, gdy przerwała ciszę.

- O co chodziło z tą Melly? - zapytała w końcu.

- Wymyśliłem ją, żeby odwrócić uwagę staruszki.

- Poskutkowało - zauważyła z nutą sarkazmu.

- Kim ona jest? Wyglądała jak zasuszona makrela.

- To komplement dla makreli! - parsknęła śmiechem, odrobinę odprężona. - Nazywa się Helen Burns, a dokładnie Randall Burns.

- Co to za sędzia, którym mnie straszyla?

- Jej mąż. Nie zasiada w składzie od dwudziestu lat, ale ona wciąż o tym przypomina.

Skręciłem w Oak. Moja ulica leżała w najstarszej dzielnicy miasta. Jednorodna zabudowa solidnych, starych domów kontrastowała z nowoczesnymi budynkami na wzgórzach. Te stare domy miały duże ogrody. Na krótkim odcinku drzewa rosnące po obu stronach ulicy stykały się koronami. Z zielonego tunelu wynurzyliśmy się przy mojej posesji.

Znałem pobliskie domy i zmiany, jakie w nich zaszły. Nazwiska, historie, mieszkańców. Niektórzy nie lubią oglądać wciąż tych samych miejsc i twarzy, na przykład mój brat Charlie. Wiele lat jeździł tirem, bo lubi być w ruchu, ciągle poznawać coś nowego. Wątpię też, czy mąż Annie, Jack, zagrzeje gdzieś miejsce na stałe. Trudno mi to pojąć, bo jestem domatorem. Czy ci wieczni włóczędzy wiedzą, co tracą? Może goniąc za nowymi wrażeniami nigdy nie uświadomią sobie, z czego rezygnują? Wjechałem na podjazd, wyłączyłem silnik i zerknąłem na kobietę obok. Oto przykład włóczęgowskiej natury.

- Jeśli milczysz, licząc, że nie zapytam, dlaczego ta Randall Burns cię nienawidzi, to się grubo mylisz - oświadczyłem.

- Należy ci się wyjaśnienie - prychnęła i spuściła wzrok, skubiąc nitkę przy swetrze. - Helen Burns nienawidzi mnie za to, że się urodziłam. To moja babka.

- Pogadamy w domu - uciałem, żeby znów czegoś nie chlapać.

- Nie ma o czym. - Tym razem nie trzasnęła drzwiami.

- Już wiem, to matka twojego ojca, który przepadł bez śladu.

- Powiedziałam tak, żeby zachować trochę prywatności. Hej, zwolnij, bo cię rozboli kolano.

- Nic mi nie jest. Mieszka tutaj, w Highpoint?

- Tak. - Chwyciła mnie w pasie, zmuszając do zwolnienia kroku. - Przyjechałam tu ze zwykłej ciekawości.

- Spotkasz się z nim?

- Nie jestem masochistką. Chcę tylko się czegoś o nim dowiedzieć.

Doszliśmy do wejścia.

- Chcesz sprawdzić, czy ojciec nie jest masochistą? - drążyłem.

- Spotkałeś już jego mamusię. - Otworzyła drzwi. Wgramoliłem się do środka.

- Jak cię rozpoznała po tylu latach?

- Matka co rok przesyłała ojcu szkolne zdjęcia i trochę informacji, i pewnie pokazał je kochanej babuni. Albo poznała mnie po ostatnim spotkaniu, dwadzieścia cztery lata temu. - Rzuciła torebkę na stolik. - Co za różnica?

Dwadzieścia cztery lata...

- Kiedy miałaś osiem lat? Wtedy ostatni raz widziałaś ojca. Babkę też?

- Daisy wpadła w kłopoty finansowe. Zawsze żyliśmy skromnie, ale wtedy ukradli jej torebkę z pieniędzmi na czynsz. Mój ojciec... - głos jej się załamał. - Odszedł od nas trzy lata wcześniej, ale całkiem nie zniknął z mojego życia. Zadzwoń do niego z prośbą o pomoc.

- Zamieszkałaś z nim?

- Niezupełnie. Przygotowywał się do magisterium i był splukany. Przywieźli mnie tutaj, do sędziego i babki. Ojciec wpadał w weekendy, czasem my jeździliśmy do mego do Denver.

- Nie układało ci się z dziadkami.

- Delikatnie mówiąc. - Zdjęła kurtkę i otworzyła szafę. - Możemy skończyć temat?

- Zaraz. Babcia wie, że jesteś w mieście. Wspomniała, że odeszłaś.

- Pewnego wieczoru jadła z sędzią kolację w lokalu Vica. Obsługiwałam ich stolik. - Skrzywiła się. - To było przykre.

- Dlaczego?

- Ben, dość przesłuchań! Usiądź.

Do diabła, nie chodziłem dobrze, ale nie chciałem siadać.

- Jeśli nie zapytam, sama nic nie powiesz.

- Czemu?

- Nie wiesz? Odwracasz kota ogonem. Pytam o kogoś, a ty zawsze wysterujesz tak, że kończę, opowiadając o własnym ojcu, kolorze łazienki w holu albo naprawie tynków.

- Przesadzasz. - Zarumieniła się ze złości i poszła do salonu.

- Czyżby? - Pokuśtykałem za nią. - Z twoich słów wynikało, że nic nie wiesz o rodzinie ojca. Gdybyśmy nie spotkali tej czarownicy...

Zaśmiała się.

- Ona nie jest czarownicą, ale moja druga babcia owszem. W dosłownym znaczeniu.



Boże, dopomóż. Oparłem łaskę o ścianę.

- Matka twojej matki jest...
- Czarownicą. - Patrzyła wyzywająco.
- Rozumiem, pogańska religia Wicca i te rzeczy?
- Babcia tak tego nie nazywała. Nie wiem, co jej czary mogą mieć wspólnego z New Age.
- I uważasz, że ty... też jesteś...?
- Czarownicą? Nie, ale wnuczką jednej z nich. W oczach pani Burns czyni to ze mnie szatański pomiot. Nie słyszałeś?
- Nie kojarzyłem tego z czarami.
- Domyślam się. Położysz to sakramenckie kolano, czy nie?
- O, ty klniesz?
- Budowlaniec, a taki świętoszek? - Skrzywiła się.
- Usiądę, jeśli opowiesz o drugiej babci. Wymamrotała coś niepochlebnego o moich przodkach.
- Dobrze. Nazywa się Alma Jones, ma osiemdziesiąt cztery lata i sięga mi do ramienia. Mieszka... Usiądź, Ben, bo nic dalej nie powiem!
- Już siadam. - Opadłem na kanapę.
- Mieszka w małym domku w Appalachach i przyrządza przepyszne kluski i kurczaki. Świeże, z własnego kurnika. Robi też amulety i lekarstwa na sprzedaż oraz ma dar widzenia.
- Dar widzenia? To coś celtyckiego? Irlandia?
- Z domu nazywała się Sullivan. - Spokojna, niefrasobliwa kobieta, znana mi od tygodnia, wpadła w uniesienie. Nawet jej włosy były poruszone. Zaczęła chodzić tam i z powrotem po pokoju. - Jest kochana, całe życie pomaga ludziom. Nie prosiła o dar widzenia, ale to się zdarza w naszej rodzinie. Jak klątwa.
- Klątwa? Seely zawróciła przy ścianie. Jej włosy zawirowały jak poskręcana peleryna.

- Wiesz, jak nazwała ją ta starucha? Narzeczoną szatana. Moją babcie! Trzydzieści dwa lata uczyła w szkółce niedzielnej.

- O jaką klątwę chodzi?

- Nieważne. - Skrzywiła się.

- Za późno, mów.

- Sto lat temu pewna czarownica rzuciła ją na moją prababkę w zemście za odbicie męża. Ale po co ci o tym mówię? Wcale w to nie wierzysz.

- W niektóre rzeczy tak - zapewniłem ostrożnie.

Pewnie jej babcia była dobrą kobietą, uczącą w szkółce niedzielnej i robiącą ziołowe leki dla sąsiadów. A sąsiedzi uważali ją za czarownicę.

Seely ochłonęła i uśmiechnęła się.

- Biedny Ben. Myślisz, że zwariowałam. Na pocieszenie powiem, że też nie wierzę w klątwę.

- Mówiłaś, że w twojej rodzinie jest przekazywany dar widzenia.

- Słyszę o tym całe życie. Nie wierzę w to, ale... - Wzruszyła ramionami, wprawiając w ruch piersi.

Chciałem powiedzieć, że podoba mi się jej sweter. Okiełznałem błędzący wzrok. Doprawdy, siła woli godna uznania.

- Historie rodzinne zapadają w pamięć. Rzeczy zasłyszane w dzieciństwie długo kołaczą się w głowie, choć wiemy, że to nieprawda.

- Właśnie! - Zaśmiała się. - Nie wierzę w klątwę, ale nie potrafię o niej zapomnieć. Daisy w nią wierzy. - Znowu ruszyła w obchód. - Uważa, że ojciec nas zostawił, bo czarownica rzuciła na kobiety w mojej rodzinie klątwę braku szczęścia w miłości.

- Hm...

Stała przy oknie i przebiegła palcami po zasłonach, jakby było jej łatwiej rozmawiać z nimi niż ze mną.

- Mogłeś odnieść wrażenie, że nic o nim nie wiem, ale to nieprawda. Czytywał mi bajki na dobranoc, woził w przyczepce przy rowerze. Pamiętam zapach pól, powiew wiatru, jego śmiech.

Podszedłem i położyłem jej dłoń na ramieniu.

- Kochał cię, choć był nieodpowiedzialny.

- Ty znowu nie na kanapie?

- Nie. - Przygarnąłem ją zdrowym ramieniem. Nie oponowała, ale zeszywniała.

- Ben...

Chyba wołała, żebym przejął inicjatywę. Powinna wiedzieć, co robić, gdy mężczyzna przekracza granicę. Nie umiała się odprężyć. Trudno. Przesunąłem dłoń po jej włosach.

- Jak miał na imię ten cymbał Burns? Izajasz? Ezechiel?

Dłonią musnąłem jej twarz. Poczulem uśmiech, choć go nie widziałem.

- Owszem, imię było biblijne.

- Mateusz? Marek?

Zmiękła, odprężyła się. Stała bokiem ze względu na temblak.

Biodrem przylgnęła do mojego rozporoka. Zastanawiałem się, jak długo mój mózg wytrzyma bez tlenu, bo cała krew spłynęła do jednej części ciała.

- Wymienić resztę postaci z Biblii?

- Stary Testament, pomyśl o lwach - zachichotała.

- Daniel.

- Bingo!

Na wysokości oczu miałem czubek jej głowy, miękkie włosy... Nie dotknąłem ich. To mi się zapisze w niebie na plus.

- Dobrze, że Duncan odmówił. Lepiej usłyszeć wszystko od ciebie.

- Jak to „odmówił”. - Znów zeszywniała. Chyba straciłem czujność.

- Udawajmy, że tego nie powiedziałem.

- Nie. - Wysunęła mi się z ramion, oczy błysnęły gniewnie. - O co chodzi?

- Nie mówiłaś ważnych rzeczy, więc... Cholera! - Złapałem się za głowę.

- Chciałeś, żeby twój brat mnie sprawdził?

- Powiedziałem, że odmówił.

- Wielka różnica! Chciałeś, żeby śledził mnie gliniarz, ale twój brat się wykręcił, więc wszystko gra?

- Musiałem się czegoś dowiedzieć. Jeśli nie rozumiesz, to trudno - podniosłem głos. - Od kiedy się pojawiłaś, wciąż robię głupoty i nie mam pojęcia dlaczego! Niczego już nie rozumiem!

Zapadła cisza, spojrzałem na nią wściekły. Psiakość, uśmiechała się.

- Podoba ci się to... - szepnąłem, kompletnie wytrącony z równowagi.

Wspięła się na palce, zarzuciła mi rękę na zdrowe ramię i cmoknęła w usta.

- Dlaczego to zrobiłaś? - Miałem zamęt w głowie.

- Impuls... - Musnęła mnie wargami. - Czasem tracę kontrolę.

Ja za to byłem opanowany, czego dowiodłem, nie rzucając się na nią.

- O rety, znów mnie napadło. Ratuj! - Przesunęła mi ręką po szyi i połaskotała w kark. - Nie opanuję się.

- Przestań... - Jej ciało ocierało się o mnie. Byłem zdruzgotany.

- Co mam przestać?

- Z tymi impulsami.

Rozpięła mi koszulę pod szyją.

- Ben...?

Przebiegłem palcami po jej włosach. Miękkie pasmo owinąłem sobie wokół dłoni.

- Masz na myśli „te rzeczy”? - Pochyliłem głowę i polizałem jej dolną wargę. - Nie powinienem, Seely.

- Impulsy są zaraźliwe - wydyszała w odpowiedzi. Drugi guzik podzielił los pierwszego. Złamałem się.

Zdrową ręką ścisnąłem ją w talii. Diabli nadali temblak! Nie mogłem przytulić Seely jak należy, ale przyciskałem usta do jej warg. Rozchyliła je, językiem ukradłem smak. Potrzebowałem obu rąk, a przydałyby się nawet trzy albo cztery. Chciałem dotykać jej wszędzie, ale poskromiłem zapędy. Przytuliła się mocno, a moja dłoń rozpoczęła wędrówkę po sprężystych udach, krągłych biodrach, jędrnych pośladkach... I ten sweter. Patrzyłem na niego cały dzień, płonąc z ciekawości, co się pod nim kryje. Rozchyliłem jej nogi kolanem. Natarczywie wtargnąłem pod sweter.

- Koronki... - zamruczałem, delektując się bujnością biustu. Sweterek doprowadzał mnie do szału, ale gdybym wiedział o koronkach... Dotknąłem sutka kciukiem. Jęknęła i przygryzła mi wargę. - Chcę zobaczyć...

Przeszedł ją dreszcz, który wzięłem za przyzwolenie, ale pokręciła głową, odsuwając moją dłoń.

- Powinnam przerwać, ale nie chcę - wydyszała. Znów przyssałem się do jej ust. Były gorące, słodkie i dzikie. Brzęczyk w głowie alarmował, że powinienem zwolnić i pomyśleć, ale nie słuchałem. Chciałem się położyć, żeby nie przeszkadzał mi brak ręki. I rozebrać.

- Nie zasłoniliśmy okna...

- Zapomniałam - zaśmiała się i odrzuciła włosy. - Dobrze, że pomyślałeś.

Zasunąłem zasłony, światło przygasło.

- Teraz możesz zdjąć sweter.  
- Najpierw coś powiem.  
- Jeśli zmieniłaś zdanie, nie będę krzyczał. Mogę jęczeć albo prosić.

- Chciałam się upewnić, że chodzi nam o to samo. -  
Objęła mnie w pasie i przytuliła się. - Nie wyobrażam sobie mieszkania w Highpoint i pozdrawiania babci w sklepie, a ty się stąd nie wyprowadzisz.

Poczułem skurcz żołądka.

- Więc to tylko zabawa?  
- Owszem.

Wyjęła mi te słowa z ust. To ja powinienem ją ostrzec i ustalić warunki. Tylko czy tego chciałem? Czas naglił. Odgarnąłem jej włosy i pocałowałem w ucho.

- Nie kłóć się z kobietą zdejmującą sweter.  
- Masz do niego jakieś ale?  
- Tak, chętnie zdjąłbym go sam.

Rozbierałbym ją powoli, pieszcząc i całując wszystko po drodze. Psiakrew, nie mogłem nawet zdjąć własnych ciuchów. Przebiegłem językiem po szyi Seely.

- Zdejmij to.  
- Tyran. - Ściągnęła sweter przez głowę.

Krągłe piersi były okolone białymi koronkami, przez które prześwitywały ciemniejsze sutki. Włosy rozsypały się po nagich ramionach, a jeden lok opadł na pierś. Zaszło mi w gardle, a oszalałe serce omal nie wyskoczyło z piersi.

- Strasznie mnie kręcą koronki. - Zapomniałem, że mieliśmy się położyć. Dotknąłem skóry nad brzegiem stanika.

- Zaczekaj! - Odsunęła się, jej głos brzmiał dziwnie. Uśmiechała się jak zawsze, ale z oczu wyzierało zdenerwowanie i niepewność. Chciałem ją utulić.

- Nie ty tu rządzisz - uniosła brew.

- Czyżby?

- Czekaj! - rozkazała. Jej dłoń powędrowała do paska dzinsów.

Nie byłem głupi, czekałem. Robiła dla mnie striptiz. Rozpięła spodnie, żebym sobie popatrzył. Zdjęła buty, a potem skarpetki. Nie przypuszczałem, że ściąganie skarpet może podniecać. Wreszcie zsunęła dzinsy. Ostre wcięcie w talii, a niżej znów białe koronki opinające biodra.

- Masz najpiękniejsze nogi na świecie.

- Myślałam, że zbzikowałeś na punkcie mojego biustu... - Sięgnęła za siebie, piersi uniosły się. O mało nie połknąłem języka. Rozpięła stanik. Położyłem dłoń na jej mostku, nie dotykając piersi.

- Serce ci wali.

- Jestem podniecona.

Wiedziała, że jej ciało robi wrażenie. Ale namiętność nie przyspiesza aż tak bicia serca. Chyba że wchodzi w grę inne uczucia. Nie usłuchałem instynktu podpowiadającego, by ją tulić tak długo, aż lęk ustąpi. Nie obawiała się nagości, lecz czułości. Pewnego dnia obnażę jej uczucia. Obiecałem sobie w duchu, że docenię wszystko, czym mnie obdarzy. Teraz było to jej ciało. Przymknęła oczy.

- Chytrus z ciebie - wyszeptała. - Jako twoja pielęgniarzka sugeruję, żebyś już zaczął. Szybko - poleciła.

Polizałem jej sutek.

- Chcesz się bawić w doktora?

- Tak. - I pocałowała mnie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Seely, siedząc na mnie, oddawała się skrupulatnym oględzinom mojego ciała. Bijący od niej żar i aksamitna gładkość skóry budziły we mnie niepohamowaną żądzę.

Nagle coś mnie tknęło.

- Czegoś zapomniałem.

- Wszystko jest na swoim miejscu - odparła z przymkniętymi oczami, zarumieniona namiętnością.

- Zapomniałem gumki.

- Rozumiem. - Jej oczy spoważniały. - To nie problem. Nie zajdę w ciążę, niczego nie złapię ani cię nie zarażę.

Zamknęła mi usta pocałunkiem. Zaprotestowałem słabo.

- Ben, idź na całość. Będzie dobrze, obiecuję. Chyba nie sprawiły tego jej słowa. Może łagodny dotyk na twarzy albo powolny rytm bioder? Albo jęk, jakby w końcu też doszła do krawędzi? A może się zapamiętałem? Seely z jękiem odrzuciła głowę i bez opamiętania zanurzyliśmy się w otchłań raju.

Leżałem na boku, patrząc na śpiącą Seely. Brązowe loki rozsypały się na poduszce. Chciałem się nimi pobawić, ale opierałem się na zdrowej ręce. Mogłem tylko patrzeć bez końca. Wtuliła się we mnie i oddychała spokojnie. Zmierzchało i pokój stał się mroczny, jakby nadciągała burza.

Pierwszy raz w życiu kochałem się bez zabezpieczenia. Nie robiliśmy tego nawet z Gwen. Poczuliśmy Zacha, bo źle mi założyła prezerwatywę. Seely powiedziała, że będzie dobrze, co nie znaczy, że postąpiłem słusznie. Skoro łyka pigułki... Ale przecież wcale tego nie mówiła. Myśl, że mogłaby zajść w ciążę, wywołała dziwny ucisk w klatce piersiowej, jak u dziecka, które bardzo pragnie czegoś na gwiazdkowy prezent, ale nie śmie poprosić.

Może nie zabezpieczyłem się, mając nadzieję, że zajdzie w ciążę? Wcześniej nie analizowałem własnych zamiarów.



Teraz robiłem rzeczy, których sobie dotąd nie wyobrażałem. Najpierw chciałem zobaczyć Seely, potem miała dla mnie pracować, ale bez podtekstów. Wreszcie wybrałem ją, choć ten związek nie miał perspektyw. Miałem poczekać, aż nie będzie już moją podwładną. Teraz leżę obok niej i patrzę, jak śpi...

To chyba kryzys wieku średniego. Nie byłem podrywaczem, jeszcze niecałe dwa tygodnie temu kochałem się beznadziejnie w Gwen. Nie obmyślałem scenariuszy związku z Seely. Dostrzegałem jej wady, bo przecież ta niewiarygodna kobieta ma ich sporo.

Odetchnąłem z ulgą. To nie miłość, raczej pożądanie na sterydach. Ale ją lubiłem. Bardzo. Od rana czekałem, żeby ją spotkać, zobaczyć, posłuchać. Zależało mi na niej. Tak wygląda przyjaźń. Była przyjaciółką, na którą się napaliłem.

Przebudziła się i uśmiechnęła.

- Cześć. - Nie mogłem odgarnąć jej włosów z twarzy, więc pocałowałem w czoło. - Myślałem, że to faceci zasypiają po seksie.

- Lubię łamać stereotypy. - Przebiegła palcami po moich ustach. - Wyglądasz jak prawdziwy macho. Flanelowe koszule, dżinsy, dyrygowanie na budowie. Macho ma zwykle szeroki kark, mały mózdzek i brak mu wrażliwości.

- Macho? To dobrze czy źle?

- Myślę, że jesteś stuprocentowym mężczyzną. Nie wierzyłam, że tacy istnieją.

Pocałowałem ją niespiesznie. Dyszała lekko i położyła dłoń na mojej piersi.

- Wzrosło ci tętno - stwierdziła.

- Było w normie, zanim się uśmiechnęłaś.

- Powinieneś leżeć plackiem z wyczerpania. Druga runda to zły pomysł.

- Moje łóżko jest na górze. - Chciałem ją mieć w łóżku, w którym budziłem się co rano.

- Schody to ryzyko.

- Pomożesz mi? - Chciałem, aby była szczerą. - Coś kręcisz, tylko nie wiem co.

- O czym mówisz? - Spoważniała.

- Jeśli nie chcesz, nie odpowiadaj, ale nie kłam. - Usiadłem na kanapie. Zirykowało mnie jej nieufne spojrzenie.

- Co mam zrobić, żebyś mi zaufała?

- Nie wiesz, o co prosisz.

- Więc mi wytłumacz. - Wstałem, choć laska leżała w drugim końcu pokoju. - Wszyscy mi ufają. Bank, sąsiedzi, partnerzy w interesach. Spytaj, kogo chcesz. Charlie jest czarujący, Duncan tajemniczy, a ja godny zaufania. - Odruchowo przeczesalem włosy. - Co z tego, skoro mi nie ufasz?

Podeszła do mnie, dumnie obnosząc swoją nagość.

- Też jesteś czarujący i trochę tajemniczy. Ale kiedy wydaje mi się, że cię rozgryzłam, zmieniasz front. - Objęła mnie w pasie. - Znam cię dopiero od tygodnia, a zaufanie wymaga czasu.

- Oddałaś mi ciało, a nie ufasz w ważnych sprawach? Nie sądzisz, że to ważne?

- Ach... - westchnęła. - Niech cię diabli, znowu coś zakładasz z góry. W ten sposób niewiele zrozumiesz.

- Byłem męski czy wrażliwy? - domagałem się jasnej odpowiedzi.

- Trudny. Dawniej nie lubiłam swojego ciała. Szybko się rozwinęłam. Od kiedy mam biust, mężczyźni nie dostrzegają mojej twarzy. Podobnie było z kolegami ze szkoły.

- Wiadomo, smarkacze. Myślą tylko tym, co mają w spodniach.

- To prawda, więc postanowiłam, że skoro ich nie pokonam, to się przyłączę. - Spojrzała na mnie, unosząc brew.  
- W wieku dwudziestu lat byłam striptizerką.

Patrzała na mnie wyzywająco, wzrokiem dzikim i zranionym zarazem. Pieściłem ją, nie wiedząc, co począć.

- Byłaś dobra? - spytałem w końcu.

- Świetna. - Jej śmiech umilkł nagle.

- To dobrze. - Przytuliłem ją mocno. Milczała przez chwilę.

- Byłam młoda i głupia - powiedziała w końcu. - Dwudziestki są równie aroganckie jak osiemnastki.

- Jako dwudziestolatek uciekłem, by wziąć ślub - wyznałem, wciąż tuląc ją do siebie.

- Żartujesz! - Oderwała się ode mnie. - Jak to było?

- Zawróciliśmy w połowie drogi do Las Vegas. Zaczęła płakać i cały czar przysł.

- Nie do wiary, nikt mi o tym nie opowiedział.

- Bo o tym nie wiedzą.

- Nawet rodzina? - Jej wargi wygięły się w kpiarskim uśmiešku. - To gratka dla szantażysty.

- Seely... - zgañem ostrzegawczo.

- A, to o niej wspominałeś. I ta nieudana ucieczka zakończyła wasz związek?

- Nie - potrząsañem głową. - Wciąż chcieliśmy się pobrać po studiach. Szalañem na punkcie Bev, była dla mnie wszystkim. Rozstaliśmy się, gdy zmarli moi rodzice i musiañem wrócić do Highpoint. Nie chciała tu mieszkać.

- Och, Ben... - Ból w jej głosie sprawił mi przykrość.

- To było dawno temu. Zostały jej jeszcze dwa lata studiów dziennikarskich. Nie zrobiłaby kariery w Highpoint.

- A zrobiła ją?

- Widziañem jej nazwisko w jakimś tygodniku, więc chyba tak. No, dobra, ale dosyć o tym. Pomożesz mi wejść na

górze, czy mam się wczołgać? - Delikatnie popchnąłem ją w stronę holu.

- Zawsze musisz dopiąć swego?

- Zawsze.

- Mogę sprawić, że zapomnisz o pójściu na górę. - W jej oczach zapalił się filuterny ognek.

- Jesteś pewna siebie. Byłbym zapomniał.

- O czym?

- Zwalniam cię - oświadczyłem z mocą.

- Miałam ci ufać, a teraz mnie zwalniasz? - Pokręciła głową.

- Pomogę ci znaleźć inną pracę.

- Nie potrzebuję, zresztą nie czuję się zwolniona.

- To nie zależy od ciebie.

- Jasne, że tak. - Poklepała mnie po ramieniu. - Nie możesz zwalniać ludzi na golasa.

Próbowałem znaleźć logiczną ripostę na tak absurdalne stwierdzenie, gdy otworzyły się drzwi wejściowe i stanęła w nich moja siostra z mężem Jackiem, a za nimi Gwen, Duncan i Zach. Oraz mój brat Charlie, którego sarkastyczny głos przerwał ciszę.

- A kuku, niespodzianka!

Seely usiadła na schodach i wybuchnęła śmiechem.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Szkoda, że nie miałam aparatu - żałowała Annie.  
- Nie oczekujcie za to wdzięczności - mruknąłem i upiłem łyk kawy.

- Niezapomniany widok. - Charlie odchylił się na krzesło, zaplatając ręce na brzuchu. - Numer stulecia.

Chrząknąłem i dopiłem kawę. Nie było sensu ich uciszać, musieli sobie na mnie poużywać. Nie zrobili tego wczoraj, by nie peszyć Seely, ale dziś jeździli po mnie jak po łysej kobyle.

A Seely pokazała klasę. Nie każda kobieta cieszyłaby się ze spotkania z rodziną męża, paradując w stroju Ewy. Jej się to udało. Wieczorem chyłkiem wymknęła się na górę do swojego pokoju. Nie miałem szansy namówić jej, by spała ze mną. Nie było pocałunków na dobranoc ani intymnych szeptów na osobności. Teraz Seely pojechała do sklepu z Gwen i Zachem. Miałem zamiar pomówić z nią, gdy wróci.

Na Annie wypadło mycie naczyń po śniadaniu. Udało się jej nie przewrócić o Doofusa, gdy sprzątała i napełniała zmywarke. Szczeniak był mocno podekscytowany towarzystwem.

Jack dolał sobie kawy. Był przysadzistym facetem wzrostu Duncana; miał krótkie, brązowe włosy i uśmiech, którego na razie miałem dość. Wziął mój nowy kubek, prezent od Annie.

- „Mężczyźni. Po prostu lepsi” - przeczytał napis. Oparł się o bufet i łyknął chciwie z kubka. - To tak, jakbym dostał coś, o czym bezwiednie marzyłem. Nie spodziewałem się, że przyłapię Bena ze spuszczoneymi gatkami.

- No, kto by się spodziewał? - szydził Duncan.

- Byłem pewny, że włoży je choć na jedną nogę - dodał bezlitośnie Charlie. - Ale ściągać je w środku dnia...

- ...i biegać tak po domu... - wtórował Jack.

- ... z gołym tyłkiem - z triumfem zakończył Charlie. Charlie i Jack byli kumplami od liceum. Już wtedy

mnie wkurzali.

- Kto by pomyślał, że od naszego wyjazdu Ben tyle zwojował. - Annie pokiwała głową.

- Ty też zwojowałaś to i owo, o czym świadczy obecność małej Matyldy. - Charlie uniósł brwi.

Annie miała łagodny wyraz twarzy. A ja pamiętałem ją jako nastoletnią piegowatą chłopczycę. Położyła dłoń na brzuchu, pod koszulką dostrzegłem wypukłość.

- Nie wybraliśmy jeszcze imienia, ale Matylda odpada - stwierdziła stanowczo.

Annie i Jack ogłosili nowinę podczas wczorajszej kolacji, która miała być połączeniem powitalnego przyjęcia z okazji mojego wyjścia ze szpitala i spóźnionych urodzin. Ciut przegięli z tym niespodziewanym najściem, ale impreza się udała. Gwoździem programu okazała się informacja, że za sześć miesięcy zostanę wujkiem. Mieli z Jackiem zostać w Stanach jakiś czas. Poczulem nagły ścisk w gardle. Annie, moja mała siostrzyczka, będzie miała dziecko. Czy kiedyś zobaczę, jak zaokrągli się brzuch Seely? Powiedziała, że nie, ale...

- Gertruda - zaproponował Duncan z udaną nabożnością. - Dobre, solidne imię.

Charlie kiwnął głową z aprobatą.

- A chłopcu dajcie na imię Alfons - dodał.

- Jack, zrób coś z tymi ptasimi mózdkami - jęknęła Annie.

- Najpierw dolej mi kawy. - Podsunąłem kubek. - Zanim coś się rozbije.

- Charliemu dam radę - chełpił się Jack.

- Akurat - obruszył się Charlie.

- Ale Duncanowi? - Jack pokręcił głową. - Kochanie, zrobię dla ciebie wszystko, ale nie chcę trafić do szpitala.

Sięgnąłem po kubek, ale powstrzymał mnie temblak. Zapomniałem, że mam sprawną tylko lewą rękę.

- Ben, nie smakuje ci kawa?

- Jest w porządku.

Przeprowadziłem eksperyment. Do tej pory nie mogłem podnieść ręki powyżej głowy, tylko na wysokość ramienia. Była słaba, ale pomagałem nią sobie w ubieraniu, myciu zębów czy wyrywaniu skarpetki z pyska Doofusa.

Jakim cudem sobie wtedy poradziłem? Po wciągnięciu dżinsów usiadłem na szpitalnym łóżku, zziębnięty i chory. Nie wiem, dlaczego mną tak trzęsło. Byłem prawie pewny, że Seely dokonała w górach cudu. Ale jakaś częśćka mnie w to nie wierzyła, nie chciała wierzyć. Może babcia Seely rzeczywiście była czarownicą? Zmieni mnie w muchomora, jeśli poderwę jej wnuczkę.

- Jesteś tu? - Annie pomachała mi dłonią przed oczami. Chciałem jej dać po łapach, ale chybiłem. Usiadła na krześle obok. Duncan wyszedł z pokoju, a Jack i Charlie spierali się zawzięcie.

- Jak się czujesz? - spytała z troską.

- Dobrze.

Lepiej niż można było się spodziewać, ale nie zamierzałem o tym mówić. Seely nie chciałyby, żeby ktoś wiedział. Nawet ze mną nie rozmawiała na ten temat.

- A ty? Masz poranne mdłości?

- Jestem zdrowa jak koń, czego nie możesz powiedzieć o sobie. Martwię się o ciebie.

- O mnie? Jesteś nierozsądna.

- Ty też, i to mnie martwi. - Położyła mi dłoń na ramieniu. - Rozbierania z pracownicą nie są w twoim stylu. Lubię Seely, ale.

- I bardzo dobrze. Skończmy z tym - uciałem.

- Wczoraj mówiła, że nie zamierza zostać w Highpoint. Ona nie jest... Nie wiem, jak to wyrazić.

- To sobie odpuść - zdenerwowałem się. - Czy ja wtrącam się w twój związek z Jackiem?

- Masz zaniki pamięci?

- No dobrze, może pozwoliłem sobie na kilka uwag, kiedy zaczęliście się spotykać.

- Straszyleś, że go rozszarpiesz.

- Całował cię i obmacywał!

- Byliśmy małżeństwem.

- Wtedy tego nie wiedziałem.

- Wtrącałeś się przy każdej okazji. Wkurzało mnie to, ale wiedziałam, że powoduje tobą braterska troska. Mam ten sam przywilej, siostrzany. Tak naprawdę chciałabym wiedzieć, czy chodzi o przelotny romans, choć przyznam, że na taki nie wygląda.

- Kobięca intuicja?

- Intuicja, która polega na niezwyklej zdolności przewidywania, co się święci. Kiedy zobaczyłam was razem... nie, nie w tamtej epokowej chwili - uśmiechnęła się. - Sposób, w jaki na nią patrzyłeś. Zmieniłeś się. Niepokoi mnie to, bo...

Doofus podskoczył, ujadając i pobiegł do drzwi.

- Wrócili - oznajmiłem z ulgą. - Pomogę z zakupami.

- Siadaj! - Annie chwyciła mnie za nadgarstek. - Masz się kurować, choć jesteś w lepszej formie, niż sądziłam. Wracając do tematu, mam nadzieję, że się nie zaangażowałeś, bo Seely nie zamierza tu zostać. Wczoraj powiedziała mi, że już jej nie potrzebujesz.

- Zwariowała? Musimy koniecznie porozmawiać.

Dopiero po południu wyrwałem Seely z tłumu. Z Gwen i Annie siedzieliśmy na tarasie. Było rześko i przydałyby się kurtki. Duncan, Charlie i Jack grali z Zachem i z zaproszonymi bliźniakami w softball.



Gwen i Annie rozmawiały o seksie. Zaczęły od ciąży, ale zeszło na seks. Udawałem, że nie słucham. Skądinąd ciekawy temat, ale Annie była moją małą siostrzyczką. Zresztą facet, gadający o tym z więcej niż jedną kobietą, igra z ogniem. Kobiety w grupie bywają bezwstydne.

Seely też brała udział w rozmowie, ale w pewnej chwili wyszła do łazienki. Wstałem, dając jej trzydzieści sekund przewagi.

- Skoczę po piwo. Chcecie?

- Ja przyniosę - powiedziała Gwen.

- Nie, muszę trenować. - Ruszyłem do kuchennych drzwi.

- Ja chcę! - zawołał Charlie zza kawałka kartonu, imitującego metę miotacza. - Jak Jack wypadnie z gry, zetnę chłopaków w proch.

Jack i bliźniaki wygwizdali go. Wszedłem do domu. Przywarłem do ściany, gdy otworzyły się drzwi od łazienki.

- Ben! - To była Seely.

Spodobały mi się jej przyczesane włosy. Miała zielony sweter zapinany na guziczki.

- Nie możesz mnie wiecznie unikać - powiedziałem z pretensją.

- Zauważyłeś, że jest tu jeszcze kilka osób? Byłam zajęta.

- Musimy pogadać.

- Dobrze, ale będę obierała jabłka. - Ruszyła do kuchni.

Znów trzymała mnie na dystans. Zrobiłem dwa kroki i zagroziłem jej drogę ręką. Zmarszczyła brwi. Pocałowałem ją, nie oponowała. Jej usta, gorące i miękkie, zadrżały z niepewności. Seely, zawsze tak pewna siebie, bała się. Tak, przyznaję, też miałem pietra. Strach mnie obleciał i nie opuszczał.

Dotknąłem językiem jej dolnej wargi, dając do zrozumienia, że też mam obawy. Całowałem policzki, żeby wiedziała, że będę uważał. Nie tylko z jej ciałem, ale

wszystkimi bolączkami. Wstrzymała oddech. Jeszcze raz musnąłem jej wargi, przywarłem czołem do jej czoła i patrzyłem.

- Chciałem to zrobić przez cały dzień.
- Wybacz, uciekałam ze strachu - wydusiła z siebie.
- Więc nie jestem osamotniony.
- Lubię twoją rodzinę.
- Ja też, czasami. Co się stało?
- Głupota i zazdrość. Mówiłam, że jestem jedynaczką.

Matka też. Moja cała rodzina to ja, Daisy i babcia.

Mówiła prawdę, ale chyba niecałą. Dotknąłem jej policzka.

- Może masz gdzieś jeszcze rodzinę, a nie tylko babkę piekielnicę? Przecież twój ojciec mógł się znów ożenić i mieć dzieci.

- Tak było. - Opuściła powieki.
- Wiedziałaś o tym, przyjeżdżając do Highpoint?
- Przysłał Daisy informację o narodzinach. Nie list, tylko zwykłą pocztówkę.
- Masz brata czy siostrę?

- Brata - westchnęła i położyła mi głowę na ramieniu. - Zastanawiałam się, czy się nie przedstawić, ale kiedy mieszkałam z babcią, ojciec nigdy nie przywiózł żony i syna, kiedy przyjeżdżał na weekendy. Może brat o mnie nie wie?

- Nie zrobiłaś nic, żeby się z nim spotkać?
- Owszem, śledziłam go. Zaśmiałem się mimowolnie.

- Wiem, to głupie. Sprawdziłam, gdzie pracuje i gdzie mieszka. Jeździłam naokoło domu, prawie podeszłam do drzwi. Nagle ktoś je otworzył. Zobaczyłam ich razem, ojca z żoną i z synem. Uzupełniali się, tworzyli jedność. Postanowiłam, że sobie odpuszczę. Wtedy twój brat znalazł mnie na dworcu autobusowym.

- Dzięki Bogu.

- Nie spodziewałam się, że ich widok tak mnie zaboli. Miękkim ruchem odgarnąłem jej włosy z twarzy.

- Przyjechałam tu z ciekawości, nie snułam mrzonek o zjednoczeniu rodziny. Gdybym o tym pamiętała, byłoby mi łatwiej.

Objęła mnie w pasie, przez chwilę staliśmy przytuleni. Strach odpłynął. Seely nie miała zamiaru zostawać w Highpoint. Nie mogłem jej za to winić, ale nie chciałem też jej stracić. Musiałem coś zrobić, żeby tu została. Czas na zmianę biegu wydarzeń.

- Wracam dziś do mojej sypialni. Spojrzała na mnie i uniosła brwi.

- Twoja siostra i szwagier będą spali na pojedynczym łóżku?

Wolna została tylko dawna sypialnia Annie i teraz był to pokój Zacha. Annie i Jack spali w mojej sypialni, a Charlie w swojej. Należała do niego, dopóki kilka miesięcy temu nie odjechał ciężarówką, aby odnaleźć siebie, i wylądował w Arizonie. Seely zainstalowałem w dawnym pokoju Duncana.

Serce zaczęło mi walić. Bałem się. Okropnie.

- W twoim pokoju jest podwójne łóżko. Wprowadź się do mnie, a oni do ciebie.

Nie rzuciła mi się na szyję z radości.

- Co oznacza „wprowadź”?

- Śpij w moim łóżku, zajmij szafę, kłóć się o pilota...

- Przesunąłem dłonią po jej włosach, rozsypanych na ramionach. Głos mi się załamał. - Bądź, kiedy się obudzę.

- Ben... - W jej oczach pojawiły się łzy.

- Dziś rano też chciałem cię objąć.

- Myślałam, że nie wierzysz we wspólne życie.

- Zmieniłem zdanie. - W myślach błagałem Boga i Seely, by wszystko było tak, jak sobie wymarzyłem.

Uśmiech pojawił się najpierw w jej oczach, a potem jak brzask objął całą twarz.

- Zmieniłeś zdanie, więc przyznajesz, że nie miałaś racji?

- Mniej więcej.

- W takim razie... - zarzuciła mi ręce na szyję - mężczyzna przyznający się do winy zasługuje na nagrodę.

- Czy to oznacza „tak”?

- Owszem.

W kilka minut później, przyciśnięta do ściany, obejmowała nogą moje udo.

- Ben... - Oparła mi czoło na ramieniu i opuściła nogę. - Nie powinniśmy tutaj tego robić.

- Fakt. - Zapomniałem, gdzie jesteśmy. Zapomniałem o braciach, siostrze, bratowej, synu i jego kolegach. Zaniepokoiło mnie, że tracę kontrolę. Zaczerpnałem tchu.

- Mówiłaś coś o szarlotce, tak?

- Ach, wy mężczyźni! Pomóż mi się pozapinać.

- Mogę obrać jabłka, ale w tym stanie nie wyjdę na dwór. Bracia wyśmieliby mnie na amen.

Zapięliśmy jej stanik, sweter i džinsy, a potem moje spodnie, i poszliśmy do kuchni. Pierwszy raz tego dnia lekko utykałem.

- Nie mówiłaś nic o schodach i kolanie. Wiedziałaś, że się zagoiło?

Spojrzała na mnie bez słowa.

- Trochę długo. - Charlie wziął ode mnie butelkę. - Byłeś tam za długo na szukanie piwa, ale za krótko na coś innego. O ile chciałbyś to zrobić porządnie - dodał z błyskiem w oku.

- Pijesz piwo czy rozbić ci je na łbie?

- Jesteś większy, ale ja szybszy. - Uśmiechnął się leniwie.

- Zresztą masz niesprawną połowę ciała.

- Tę część mam w porządku. - Pociągnąłem łyk piwa.

- Miło to słyszeć. - Charlie podniósł butelkę.

Gdy byłem z Seely, partia softballu dobiegła końca. Panie miały przygotować kolację, a panowie rzucić na grill żeberka i posprzątać. Duncan pojechał do domu, by wziąć prysznic i włożyć mundur; miał wrócić na kolację przed dyżurem.

Zmartwienia uleciały, a ciemniejący błękit nieba wprowadził mnie w dobry nastrój. Żeberka pachniały wspaniale. Seely miała dziś spać w moim łóżku. Świat był piękny.

Staliśmy z Charliem pod rozłożystym dębem obok huśtawki Zacha, sączyliśmy piwo, przyglądając się dzieciom. Ogródek był dla nich wymarzony - duży, z gęstą trawą i kilkoma łysymi plackami. Dzieci potrzebują nieuporządkowanych miejsc, gdzie mogą budować i burzyć, marzyć, kopać i bałaganić.

Marzenia... Zrezygnowałem z nich, ale nie umarły. Ogródek i dom nadawały się dla gromadki dzieci. Wyobraziłem sobie kędzierzawą dziewczynkę na huśtawce z opony.

- Podoba mi się twoja dziewczyna - zagaił Charlie. Spodobało mi się słówko „twoja”.

- Niezła. Nie mówię o...

- Nie przyjrzałem się - zapewnił Charlie. - Za szybko trzasnąłeś drzwiami. Jeśli Seely tu zostanie, może umrzesz młodo, ale szczęśliwy.

- Ożenię się z nią.

Charlie zakrztusił się piwem. Gdy przestał kasłać, spojrzał na mnie ostrożnie.

- Wspomniałeś jej o tym?

- Jeszcze nie.

Najpierw musiałem uporać się z pewną sprawą. Miałem już plan.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wieczorem o wpół do jedenastej wszedłem do sypialni. Zza drzwi łazienki dochodził szmer wody. Seely brała prysznic. Denerwowałem się, niczym angielski rekrut na widok francuskich oddziałów pod belgijską wioską Waterloo.

Napięcie jak w noc poślubną.

Myślałem, że kobieta, która zapełni moją szafę swoimi ubraniami, będzie moją żoną. Mieszkanie na kocią łapę było dla mnie nowością. Nie mogłem nic poradzić, że działo się to pod zdziwionym, pełnym obaw i wścibskim okiem mojego rodzeństwa. Opadły im szczęki, gdy przy żeberkach i sałatce zapowiedziałem zamianę pokoi. Straciłem apetyt na szarlotkę. Skąd to zaskoczenie? Miałem swoje lata, za sobą kilka romansów, a na studiach nawet narzeczoną, choć rodzina o tym nie wiedziała. Wiedzieli, że chodziłem z Bev.

Ale nigdy nie byłem w prawdziwym związku. Nic dziwnego, że się denerwowałem. „Związek” to babskie słowo. Coś poważnego, ale nie aż tak, żeby stawać przed ołtarzem. Oznacza „być może”, a nie ostateczne „tak”. Problemy rozwiązuje się przez dyskusję, a zasady wymyśla na poczekaniu.

Co ona tam robi tak długo pod tym prysznicem?

Decyzja o ślubie to co innego niż wcielenie jej w życie. Zwłaszcza że Seely wierzyła w klątwę nieszczęśliwej miłości. Byłem o tym przekonany, mimo jej zaprzeczeń.

Może to nie był zły układ? - dywagowałem. - Kobiety mnie lubiły, niektóre szły ze mną do łóżka, ale nie zakochiwały się na zabój. Nie wiedziałem dlaczego, przecież miałem wiele zalet i byłem godny zaufania. Brzmi to niezbyt seksownie, ale przydaje się w związku. Mogłem Seely zaoferować dom, ale nie wiedziałem, czy zechce. Czy bezpieczeństwo jest ważne dla kobiety prowadzącej

koczowniczy tryb życia? Nie wiem, lecz wierność na pewno, a w tym byłem mistrzem.

I lubiła mnie, niezależnie od łóżkowych fajerwerków.

Szum wody ustał. Przypomniałem sobie, że kobiety długo przesiadują w łazience. Kremy, balsamy i takie tam sprawy. Wznowiłem przechadzkę. Spojrzałem na stosik rzeczy, który wrócił ze mną ze szpitala. Były książki „Uzdrowiające dłonie”, „Kobieca księga uzdrawiania” i - uch! - „Czakry, aury i uzdrawiająca energia ciała”.

Dotknąłem ramienia, gdzie gazik zakrywał szybko gojącą się ranę. Zdjąłem temblak. Już nie potrzebowałem go, ale publicznie wkładałem, żeby oszczędzić sobie zbędnego gadania.

Zacisnąłem usta. Dochowam tajemnicy, ale najpierw muszę ją poznać. Jedną z zasad związku jest szczerłość i otwartość wobec partnera. Seely winna mi jest wyjaśnienie. W skrytości ducha miałem nadzieję, że nie zaserwuje mi dyrdymałów o czakrach i aurach.

Zerknąłem w lustro i zdjął mnie niepokój. Byłem wysportowany i podobałem się Seely, ale może powinienem do łóżka wkładać te kretyńskie pizamy? Bokserki nie były specjalnie romantyczne. A, do diabła z tym, zwykle sypiam nawet bez bokserek. W łóżku facet musi mieć wygodę, i już.

Drzwi łazienki stanęły otworem. Seely miała na sobie satynową, niebieskozieloną koszulę nocną o prostym kroju. Połyskiwała jej na piersiach jak odbłask słońca na wodzie i odkrywała zgrabne nogi. Nasiąknięte wilgocią włosy bezładną burzą oplatały twarz. Wargi uchylły się w nieśmiałym uśmiechu.

- Cześć, marynarzu. Szukasz rozrywki?

- Fajnie, że ty też się denerwujesz - odetchnąłem z ulgą.

- Cieszy cię to?

- Nie chcę, żeby tylko mnie ścisnęło w dołku. - Objąłem ją w pasie. - Ładna koszulka.

- Dzięki. - Włożyła palce pod gumkę szortów.

- Jak mi idzie? - Nasze usta się spotkały.

- Całkiem dobrze.

Przez chwilę staliśmy, uśmiechając się do siebie. Potem zaczęła krążyć po pokoju, dotykając rzeczy, jakby się z nimi zapoznawała.

- Czasem wydaje mi się, że znam cię od lat, a teraz mnie olśniło, jak krótko to trwa. Wszystko dzieje się tak szybko.

- Przesadzasz.

- Czyżby? Zatrudniłeś mnie bez referencji i po dziesięciu dniach znajomości prosisz, żebym z tobą zamieszkała.

- To była świetna decyzja - stwierdziłem uparcie.

- Niech ci będzie. - Seely ze śmiechem machnęła ręką.

- Podoba mi się twój pokój - ciągnęła. - Męski, ale wygodny, trochę w stylu retro. Zaskoczyła mnie lampka, piękna, ale kobieca w stylu. - Dotknęła abażuru.

- Lubię na nią patrzeć. Należała do mamy. Bardzo ją lubiła. To ręcznie malowana chińska porcelana.

- Jesteś sentymentalny.

- Nie. Mam szacunek dla przeszłości.

- I to mi się podoba. - Objęła mnie. - Teraz możesz mnie zwolnić.

- Bo nie jesteśmy nadzy?

- Nie wymagasz już opieki. Nie mogę brać pensji za mycie ci pleców i ciągle marudzenie, że masz uważać.

- Też będę ci mył plecy.

- Umowa stoi.

Miałem wielką ochotę pocałować ją, ale najpierw musiałem wiedzieć.

- Jeszcze jedno. Jak to się stało, że już nie wymagam opieki?



Znieruchomiła w moich ramionach.

- Nie potrzebuję już temblaka. Kolano prawie się zagoiło. To prawie niemożliwe.

- Dlaczego nie przyjmiesz spraw takimi, jakie są? - Wymknęła się z moich objęć. - Nie pytaj, nie szukaj logiki, nie czytaj tych wszystkich książek. Daj sobie z tym spokój.

- Nie chcesz rozmawiać i nawet nie wytłumaczysz dlaczego.

- Och, Ben, po prostu chcę się czuć zwyczajnie, tak trudno to zrozumieć? - jej głos zabrzmiał smutkiem. - Z tobą i twoją rodziną czuję się normalnie. Pasuję tu. Nie wolno mi choć przez chwilę udawać, że jestem taka, jak wszyscy?

- Pasujesz tu... Idealnie.

- Przyda mi się odrobina szaleństwa. - Przytuliła się do niego.

- Służę - odgarnąłem jej włosy, odsłaniając twarz. - Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Pierwszy raz ją okłamałem. Byłem zboląły, ogłupiały, ale nie szalony. Po raz pierwszy miałem pewność, że mnie potrzebuje. A jednocześnie potrzebowała pozorów.

- Ben! Ben!

Ktoś potrząsał mnie za ramię. Ocknąłem się półprzytomny.

- Coś ci się śniło - wyjaśniła Seely. - Jakiś koszmar?

- Tak. - Przewróciłem się na plecy i przetarłem twarz. Miałem skórę lepka od potu.

Dom był cichy i uśpiony. Stary zegar na komodzie tykał miarowo. W ciemności nie widziałem Seely. Słyszałem szelest pościeli. Czułem na piersi ciepło jej dłoni i włosy łaskoczące ramię.

- Opowiesz mi sen, czy wolisz być Ambitnym Twardzielem? - spytała miękko.

- Nie ma o czym mówić - mruknąłem.

- Goniły cię zębate stwory? A może śniło ci się coś w moim ulubionym stylu, że pojawiając się nago na teście z algebry?

Okay, rozbawiła mnie. Pociągnąłem za kosmyk włosów.

- Był raczej realistyczny...

- I...?

- Znów czołgałem się po zboczu - wzruszyłem ramionami - ale pomyliłem górę z dołem.

- Realistyczne sny to pułapki. - Seely rysowała mi na piersi kółka. - Wpadłeś w taką pułapkę.

W tym koszmarnym śnie poruszałem się jak na jawie, ale nie odróżniałem góry od dołu, więc cały wysiłek szedł na marne. Seely mnie nie odnalazła. Umierałem, zmarznięty i samotny.

- Senne zmory po takim przeżyciu to normalka.

- Możliwe. - Bawiła się włosami na mojej piersi. - Pomóc ci zasnąć? Rozbudziłam się na dobre.

Czułem się niepewny i obnażony. Słowa wydały mi się zbyt słabe i nietrafne, żeby wyrazić nimi stan ducha. Przyciągnąłem jej głowę do pocałunku. Z dotykiem wilgotnych ust przeszył mnie dreszcz pragnienia.

Była tutaj. Tylko o tym myślałem - Seely była prawdziwa, w moich ramionach, w moim łóżku. Senny koszmar to złuda, bo miałem Seely tuż obok...

Pokój na tyłach domu tonął w egipskich ciemnościach w tę bezksiężycową noc. Lekka kołdra utkana była z tysięcy możliwości. Kierowany potrzebą równie fizyczną co ulotną, zatraciłem poczucie kierunku. W realnym świecie istniały wymiary, obiekty poruszały się w przestrzeni. Podczas mojego czołgania się pod górę rzeczywistość rozpadła się na części, jak zerwany sznur koralików. Ale teraz zgubione części poukładały się w całość. Koraliki tkwiły równym rzędkiem na nitce. Odnalazłem Seely w krągłości uda i miękkiej skórze

łokcia. Była powietrzem, którym oddychałem, dłonią  
przeczesującą mi włosy... Nie pamiętam, czy śniłem.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Tydzień później Annie i Jack szukali większego mieszkania w Denver, Charlie projektował i urządzał ogrody w Arizonie, Zach był u pani Bradshaw, a Seely ubiegała się o posadę w administracji podstawówki nieopodal domu.

Wróciłem do pracy, choć tylko na kilka godzin dziennie. Co za rozkosz usiąść za biurkiem w fotelu, który jak żadna kobieta znał anatomię mojego ciała. Temblak przerzuciłem przez oparcie. Zdjąłem go, gdy Manny wyszedł na budowę Pattersona, a zamierzałem włożyć, wychodząc z biura.

Podpisałem czeki, porozmawiałem z dostawcami i przejrzałem oferty podwykonawców. Gapiąc się w okno, pomyślałem, że chciałbym być z Mannym.

Oszukiwanie Seely przyprawiało mnie o mdłości. Nie mówiłem jej kłamstw, ale uczciwość polega na czymś więcej. Zamierzałem zrobić coś za jej plecami. Wybrałem numer otrzymany z informacji; sygnał w słuchawce zahuczał siedem razy. Wreszcie radosny damski głosik zaświergotał:

- Cześć, tu Daisy na żywo! Czy też nienawidzisz automatycznych sekretarek?

- Owszem.

- Zwłaszcza tych, które każą wciskać numerki. Trzy, żeby złożyć zamówienie, cztery, kiedy nie cierpisz brokułów, pięć, jeśli byłeś w pudle...

- ...i chcesz wylądować u czubków.

- Właśnie. Kto mówi?

- Ben McClain. Dzwonię, bo...

- Chłopak Seely! Cudownie, że dzwonisz. Nie wolno mi przepytawać jej nowych facetów przynajmniej przez pierwszy miesiąc. Ale to ty zadzwoniłaś, więc mogę.

- Przesłuchać mnie?

- Nazywam to rozmową zapoznawczą.

Jeśli matka Seely chciała się dowiedzieć o moich zamiarach albo stanie konta, to w porządku. Domyślałem się, że Daisy Jones jest nietuzinkowa.

- Nie znam swojego znaku zodiaku.

- Już nie układam horoskopów. Jaki okaz z królestwa roślin lubisz najbardziej?

- Dąb w ogródku.

- Wybrałeś drzewo! - Była zachwycona. - Imię pierwszego zwierzaka?

- Rocky. Wypytywała tak pani wszystkich chłopaków Seely?

- Większość do tego przywykła. Rocky był psem czy żółwiem?

- Skąd te dwie możliwości? - spytałem zaniepokojony.

- Zabezpieczam się. Rocky pasuje do żółwia, ale chłopcy zwykle mają psy.

Powiedziałem jej o żółwiu, znalezionym gdy miałem trzy latka. Potem pytała o ulubioną porę dnia, znieawidzoną potrawę, którego prezydenta chciałbym poznać i jakim jeżdżę samochodem.

Lubiła ciężarówki i sporo o nich wiedziała, co nie było raczej w stylu szamanki a la New Age. Zresztą nie miałem pewności, czy uważała się za czarownicę. Podczas rozmowy o ciężarówkach zerknąłem przez okno na nowego dodge'a stojącego na parkingu. Towarzystwo ubezpieczeniowe wypłaciło już odszkodowanie i wczoraj wybraliśmy z Seely nowy samochód. Jak zwykle zamierzałem kupić biały, ale przyznałem, że ciemnoniebieski wygląda dobrze. Jednak ciężarówka nie nadawała się na samochód rodzinny. Może powinienem wymienić starego chevroleta na coś nowszego?

- Oboje nie lubimy fordów. Wracając do pytań, w jakim wieku przeszedłeś inicjację?

Omam się nie zakrztusiłem.

- Żartuje pani?

Chichot Daisy był szelmowski, co przypomniało mi jej córkę.

- Ludzie chętnie odpowiadają na to pytanie. Nie będę cię dłużej dręczyła, proszę, o co chcesz.

- Skąd pani wie, że dzwonię z prośbą?

- Inaczej byś nie dzwonił, chyba że Seely byłaby chora lub ranna, a nie jest.

Nie spytałem, skąd ta pewność.

- Seely ma brata. Jak mogę się z nim skontaktować?

- Seely zna jego imię - usłyszałem po długiej chwili milczenia - dlaczego jej nie zapytasz?

- Będę szczery, chcę z nim porozmawiać bez jej wiedzy.

- Po co chcesz z nim mówić?

- Seely ma problemy. Postanowiła, że jednak nie rozmówi się z ojcem. Chce wyjechać z Highpoint bez spotkania z nim i z bratem. To niedobrze.

- Skąd wiesz, co jest dla niej dobre?

- Bardzo przeżywa te sprawy. Nie rozumiem, jak on mógł ignorować własne dziecko. Może spotkanie z bratem przyniesie jej ulgę?

- Rozumiem, co masz na myśli, ale lepiej nie wchodzić w cudze życie rodzinne.

- Seely mówiła, że przyjechała do Highpoint z ciekawości. Cokolwiek ją tu przygnało, jeszcze się z tym nie uporała. Potrzebuje spotkania z bratem. Musi sprawdzić, czy podobnie się uśmiechają, oglądają te same programy, jadają identyczne potrawy. Czy go lubi.

- To jej brat przyrodni, nie muszą być podobni.

- Owszem, lecz są rodziną. Wie o jej istnieniu?

- Nie wiadomo. Kiedyś tak jak ty uważałam, że powinna wyjaśnić sprawy, o których mówisz. Jednak nie wpadło mi do

głowy, żeby zadziałać przez brata. Ten pomysł ma szansę powodzenia.

- Pomoże mi pani? - Odetchnąłem z ulgą.

- Nigdy nie byłam rozsądna. Okay, nazywa się Jonathan Burns.

- Dzięki.

Zacząłem kartkować książkę telefoniczną. Chciałem jeszcze o coś zapytać, ale nie wiedziałem, jak zacząć.

- Seely opowiadała mi o babci.

- Pani Burns?

- Nie. Tę akurat spotkałem, żadna przyjemność.

Znalazłem. Jonathan S. Burns, ulica Thornbird 1117. Zamknąłem książkę.

- Seely opowiadała o pani matce, która była... - przełknąłem ślinę - czarownicą.

- Doprawdy?

- Czyżby zdradziła sekret?

- Nie wszystkim opowiada o naszej rodzinnej spuściźnie.

- O, właśnie podjechała, muszę kończyć.

- Nie przejmuj się i porozmawiajcie o tym.

- Pani Jones...

- Mów mi Daisy.

- Naprawdę muszę kończyć.

- Seely skrzywdzili ci, którzy jej nie akceptowali.

- Dzięki za rozmowę - powiedziałem, odkładając pospiesznie słuchawkę na widok otwieranych drzwi.

Seely uniosła brew, wkraczając do mojego biura. Była zadowolona, pewnie dobrze jej poszło podczas rozmowy w sprawie pracy. Powitałem ją zachęcającym uśmiechem.

- Dostałaś pracę czy cieszysz się na mój widok?

- Jedno i drugie. - Zarzuciła mi ręce na szyję.

- Dobrze wiedzieć, że w szkołach nie będą pracować sami idioci - stwierdziłem, pieczętując swój osąd pocałunkiem. - Uczcijmy to, chodźmy gdzieś na kolację.

- Świetny pomysł, ale żadnych rozmów o pracy, dobrze?

- Dobrze. - Pocałowałem ją i poszedłem do nowego auta. Ona wsiadła do swojego samochodu i tak wróciliśmy do domu, trochę razem, a trochę osobno. Pomyślałem nieco posepnie, że przypomina to nasz związek.

- Popatrz na mnie, tatusiu!

Zach awansował mnie z „taty” na „tatusia” kilka miesięcy temu. Gdy tak wołał, ścisnęło mnie w dołku.

- Patrzę - odpowiedziałem z drugiej strony cedrowego płotu. - Ale wysoko.

Mój malec bawił się z bliźniakami na drabinkach u pani Bradshaw. Powinienem zabrać go do domu przed przyjazdem Gwen, ale dzieciaki tak radośnie dokazywały, że dałem mu jeszcze czas.

- Gdzie twoja piękna dama? - spytała pani Bradshaw.

- W domu, robi się na bóstwo.

- Ty też się przebrałeś.

Miałem zamszowy płaszcz rodem z westernu, dostałem go od Annie na Gwiazdkę. Powiedziała, że jest w stylu Roberta Redforda. Wątpię, czy na świecie wielu facetów przypomina Redforda mniej niż ja. Byłem dumny ze swojego wyglądu. Do płaszcza włożyłem džinsy, pasowały idealnie.

- Czas, żebyś ją gdzieś zabrał. - Niebieskie oczy starszej pani mrugały zza fioletowych oprawek. - Będziecie razem? Lubię ją.

- Mógłbym poprosić, żeby pilnowała pani własnych spraw, ale szkoda czasu - zaznaczyłem z życzliwą ironią.

Naomi Bradshaw była drobna, miała szorstką skórę i sokoli wzrok po trzydziestu latach pilnowania dzieciaków. Po



odejściu męża wychowywała nie tylko własne, ale opiekowała się cudzymi. Była też potwornie wścibska.

- Dobrze, że nie marzysz już o Gwen.

- Co za wybujała wyobraźnia i brak taktu - burknąłem.

- Nie będę taktowna wobec kogoś, komu zmieniałam pieluchy - odparowała.

- Pudło, miałem siedem lat, kiedy pani się tu sprowadziła.

- Wszystko jedno. Niewiele się zmieniłeś, wciąż uparty jak osioł. Temblak nie pasował do płaszczyka?

Cholera, zapomniałem o nim przy przebieraniu. Nie chciałem, żeby się zastanawiała, czemu tak szybko wyzdrowiałem.

- Nie potrzebuję temblaka - warknąłem.

- Uparty jak osioł. Lepiej go załóż, bo się pokłócicie. Seely nie jest...

- Pani Bradshaw - miała dziwny wyraz twarzy, jakby chwyciły ją mdłości - wszystko w porządku?

- Tak. - Machnęła lekceważąco ręką, ale wyglądała źle i miała świszczący oddech. - Dziwnie się czuję.

- Proszę iść do domu i położyć się, przyprowadzę chłopców.

- Daj spokój, ich matki przyjadą za dwadzieścia minut. - Objęła się ramionami, jakby przejęło ją zimno. - Niedawno miałam grypę, widać nie doszłam do siebie. Chłopcy! - zawołała, idąc w stronę drabinek. - Czas iść. Carson, nie udawaj, że nie słyszysz. Zach... - Urwała w pół słowa i upadła na ziemię.

Płot był niski, przeskoczyłem go jednym susem. Leżała na boku, więc przewróciłem ją delikatnie na wznak. Przyklęknąłem, przystawiając ucho do jej ust. Nie oddychała.

- Tato, co się stało pani Bradshaw?

Zach stał obok, a za nim bliźniaki. Patrzyli przerażeni.

- Jest bardzo chora. - Wzięłem Zacha za rękę, pobiegliśmy do płotu i przesadziłem go na drugą stronę. - Biegnij po Seely, jest na górze, szybko!

Ruszył biegiem. Ukląłem przy nieprzytomnej. Co roku bywałem na kursie reanimacji, ale nigdy nie stosowałem jej w praktyce. Nakazałem sobie spokój.

- Carson! - rzuciłem w stronę bliźniaków.

- Tak, proszę pana?

- Pędź do domu i zadzwoń pod 911. Powiedz im, że potrzebujemy karetki. Poradzisz sobie?

Kiwnął głową i pognali razem z bratem do drzwi.

Muszę się upewnić, czy drogi oddechowe są drożne. Język nie blokował tchawicy, ale nie czułem oddechu na dłoni. Zrobiłem wdech, zacisnąłem jej nos, przyłożyłem usta do jej ust i wpompowałem powietrze do płuc. Żadnych zmian, wciąż nie oddychała.

Czas na masaż serca. Piętnaście uciśnień, częściej niż jedno na sekundę. Złożyłem dłonie na mostku i nacisnąłem. Próbowałem przypomnieć sobie ćwiczenia na manekinie, modląc się, by nie nacisnąć za mocno. Silny facet, robiąc masaż serca, może połamać żebra. Ale lepsze to niż brak tętna.

Pani Bradhaw ani drgnęła. Zakończyłem drugi cykl i uciskałem mostek, gdy z drzwi domu sąsiadów wybiegł James.

- Jada! Carson jeszcze z nimi rozmawia, kazali mu zostać przy telefonie.

- Dobrze.

- Czy ona wyzdrowieje? Pomogą jej?

- Mam nadzieję. - Czas na oddechy.

- Idź do domu, James! - zawołała Seely. - Bratu będzie różniej.

Słyszałem, jak przechodzi przez płot. Po chwili ujrzałem nogi w pończochach. Seely uklękła, ale nie zajęła pozycji do

sztucznego oddychania, natomiast położyła ręce na szyi pani Bradshaw tuż poniżej uszu.

- Ben, jest bardzo źle. - Przygryzła wargi. - Zaufasz mi?

- Tak.

- Odsuń się i nie pozwól, by ktoś jej dotknął, dopóki nie skończę. Pod żadnym pozorem.

Przerwać reanimację? Zawahałem się, przecież to przeczyło zdrowemu rozsądkowi.

Ale taka była Seely. Kiwnąłem głową i wstałem, czując silne klucie w kolanie.

Położyła dłonie na klatce piersiowej chorej. Była spokojna i sprawiała wrażenie nieobecnej. Koncentrowała się. Podobny wyraz twarzy mają artyści w natchnieniu albo zakonnice podczas modlitwy.

- Jeszcze jedno. Gdybym zemdlą, nie pozwól im zabrać mnie do szpitala.

Bezwiednie zrobiłem krok w jej stronę, ale przystanąłem.

Powoli, stopniowo, okrywała się poświatą, którą już znałem.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Zasłony w sypialni były rozsunięte, ale w oknie odbijały się tylko wyłonię z ciemności mgliste odblaski. Paliła się porcelanowa lampka mojej matki.

Siedziałem obok łóżka, na którym spała Seely. Doofus drzemał na chodniku. Początkowo szczeniak dotrzymywał mi towarzystwa, ale zrobiło się późno. Seely spała czy też była nieprzytomna od siedmiu godzin. Byliśmy sami. Zach wrócił do domu z Gwen, Duncan był na patrolu, a pani Bradshaw...

- Ben?

Obróciłem się z uśmiechem.

- Wróciłaś! Jestem cierpliwy, ale to czekanie... Jak się czujesz?

- Zmęczona.

Jej energia wyczerpała się. Leżała blada, nieruchoma. Zaczesałem jej włosy do tyłu.

- Nie powinieneś wnosić mnie po schodach.

- Zrobił to Duncan, przyjechał po Zacha zamiast Gwen.

Długo przekonywałem jego i ratowników, że Seely często mdleje i nie ma potrzeby zabierać jej do szpitala. W końcu ubłagałem, żeby mi zaufali.

- Co z panią Bradshaw?

- Dobrze. Jej syn z żoną są już w szpitalu, a pozostałe dzieci w drodze. Doktor Harry Meckle znów jest zbity z tropu. Lepiej ci?

- Trochę. - Rozejrzała się. - Która godzina?

- Wpół do dwunastej.

- Myślałam, że spanikujesz dużo wcześniej. - Uniosła brwi.

- Owszem, zadzwoniłem do twojej matki.

- Do mojej... - odebrało jej mowę.

- Właśnie... - Sięgnąłem po napój. - Kazała ci podać coś kalorycznego po przebudzeniu.

- Dzwoniłeś do mojej matki?!

- Trzy razy, dali mi numer w informacji. - Otworzyłem colę i wlałem do szklanki. - Jest miła, choć niezwykła. Chyba mnie lubi.

Wzięła szklankę, nie bardzo wiedząc, co z nią począć.

- Daisy cię uprzedziła? Nie denerwowałeś się?

- Jasne, że tak. - Ciarki mnie przeszły na wspomnienie ostatnich wydarzeń. - Daisy uprzedziła mnie o zagrożeniu. Kazała kontrolować twój oddech. Gdyby spowolniał, zawiózłbym cię na pogotowie.

- Nic mi nie jest - zapewniła, głaszcząc mnie po dłoni. - To przypomina krawędź nad przepaścią. Po kilku złych doświadczeniach nauczyłam się po niej poruszać. Nie spadnę.

Kiwnięciem głowy wskazałem szklankę. Posłusznie wypija.

- Naprawdę rozmawiałeś z moją matką? - nie dowierzała.

- Inaczej byłabyś w szpitalu. Wiedziałem zbyt mało, żeby podjąć decyzję wbrew własnym odczuciom. - Umilkłem na chwilę. - Powiedziała mi, że mdlejesz tylko w przypadku skomplikowanego uzdrawiania, gdy człowiek jest bliski śmierci. Pani Bradshaw umarłaby, gdyby cię nie było?

- Nie wiem. Uszkodzenia były poważne, ale czasem można przywrócić pracę serca przez defibrylację. Sądziłam, że raczej nie przeżyje.

- Po moim uzdrowieniu też zemdląłeś... - Pokiwałem głową w zadumie. - Umarłbym, gdybyś tego nie zrobiła. Konaleś, gdy mnie znalazłaś.

Zawahała się, po czym skinieniem potwierdziła moje podejrzenia.

Miałem poczucie, jakbym zbliżył się do niewyobrażalnej tajemnicy. Moje wspomnienia tamtych chwil były rozmyte i niespójne.

- Co konkretnie zrobiłaś?

- To pułapka? Ciągniesz mnie za język, kiedy jestem słaba?

- Powiedzmy, ale chyba zasługuję na wyjaśnienie? Popatrzyła na mnie przygnębionym wzrokiem, ale nie była innego sposobu na rozwiązanie problemu.

- Owszem, ale najpierw coś zjem.

Podłożyłem jej kilka poduszek, ustawiłem tacę i starałem się zabawić rozmową. Pomyślałem, że Seely będzie zainteresowana kobietą, której ocaliła życie. Niech przekona się, ile osób obchodzi fakt, że ta kochana, wścibska staruszka wciąż żyje. Mówiłem o dorosłych dzieciach pani Bradshaw i innych, którymi się opiekowała, w tym o mojej siostrze i braciach.

Po zjedzeniu ciasta Seely powróciły rumieńce, ale wciąż miała udęczony wzrok. Może to normalne po seansie uzdrawiającym? Chciałem się tego wszystkiego dowiedzieć. Dałem jej cukierki, zabrałem tacę i dolałem coli.

- Twoja mama mówiła, że rodzinny dar przybiera różne formy. Ty uzdrawiasz i masz większą moc od niej i od babci.

- Ależ się rozgadała!

- Można powiedzieć, że zaprzyjaźniliśmy się.

Przy trzeciej rozmowie przywykłem, że Daisy wie z wyprzedzeniem, co chcę powiedzieć.

- Mówiła o swoich zdolnościach?

- Nie, ale to ma coś wspólnego z przewidywaniem.

- Mniej więcej - uśmiechnęła się przelotnie. - Pewnie chcesz wiedzieć, jak to działa? Rozczarujesz się, bo sama nie wiem. Czytałam te same książki, co ty, bo chciałam zrozumieć. Co sądzisz o tej? - Wskazała tom leżący na wierzchu stosu.

- Autor stara się nie podawać niesprawdzonych hipotez.

W książce podano kilka dobrze udokumentowanych i wiele niepotwierdzonych przypadków, gdy nakładanie rąk

ułatwiło leczenie. Przytoczono też wyniki badań obrazujących poprawę zdrowia pacjentów po operacji serca, pod wpływem modlitwy.

- Czy w tej książce wspomniano o kimś, kto ma takie zdolności?

- Prawdę mówiąc, nie. Nigdy nie znalazłam nikogo takiego - w tym zdaniu nie brzmiała duma, lecz poczucie samotności.

- Od dawna wiesz o swoim darze?

- Zaczęłam w wieku pięciu lat. Najpierw drobiazgi, zadrapania, siniaki, ból brzucha. Z wiekiem nabierałam mocy, aż... - nie dokończyła myśli, kręcąc głową.

- Musiałś to rozgryźć.

- Nie odpuścisz żadnego pytania? - Podciągnęła kolana i objęła je rękami. - Dobra, oto krótki kurs uzdrawiania. Pomagam ciału zrobić to, co samo potrafi. Jestem mistrzynią w leczeniu ran. Choroby serca są trudniejsze, bo nie mam wprawy. W każdym razie moja rola polega na pobudzeniu w ciele zdolności samouzdrawiania i wzmocnieniu ich.

Opowiedziała, że kiedyś, pracując jako ratowniczka, uzdrowiła naukowca, doktora nauk medycznych. Namówił ją do poddania się badaniom. Wtedy jej dar się ukrył.

- Nie mogłam uleczyć nawet zdartej skórki przy paznokciu. Z początku myślał, że nie współpracuję albo nieświadomie blokuję zdolności. Być może tak było. Kobiety w mojej rodzinie zawsze musiały ukrywać dar, więc miałam wprawę. Albo jak mawia babcia, Bóg tym rządzi.

- Jak to?

- Jej zdaniem Bóg nie chce, żebyśmy rozmawiały z obcymi o darze. Czułam się wtedy strasznie, nie wiedziałam, czy dar powróci. W końcu doktor Emerson doszedł do przekonania, że wszystko sobie wymyślił, a ja jestem szarlatanką.

Był jeszcze jeden powód, aby nie wyjawiać sekretu.

- Mówiłaś, że zmęczyła cię praca ratowniczką. Było za dużo ludzi do uzdrawiania?

- Mniej więcej. - Spuściła głowę, włosy zasłoniły jej twarz.

Myślałem o tym, co powiedziała i co wciąż jeszcze ukrywała.

- Są granice, nie ulecysz wszystkim. Trudno znieść myśl, że zawiodłaś, choć powinnaś pomóc - powiedziałem powoli.

- Czasem ciało jest rozregulowane. Nie leczę chorób autoimmunologicznych. Mogę złagodzić objawy artretyzmu, ale go nie usunę. - Podniosła głowę i spojrzała mi prosto w oczy. - Nie jestem też dobra w przypadku raka. W „Star Treku” uzdrowiciel leczy ludzi, przejmując na siebie ich ból. U mnie to nie działa w ten sposób.

- Więc nie wiesz, co odczuwają ludzie wokół ciebie?

- Nie. Muszę się skupić, aby nawiązać kontakt. I dotykać chorego.

Powiedziała wiele, ale nie poruszyła istotnego tematu. Może nie sądziła, że jest dla mnie ważny.

- Daisy powiedziała coś jeszcze.

Seely nie patrzyła na mnie, zajęta rozwijaniem cukierka.

- Ten cymbał, z którym mieszkałaś.

- „Cymbał”, świetne określenie - zaśmiała się.

- Więc mówił, że masz wspaniały dar, i wydawało się, że w pełni go akceptuje, ale gdy zobaczył, jak kogoś uzdrawiasz, był zaszokowany. I potem się między wami popsulo.

- Rzeczywiście, z grubsza tak było.

- I teraz czekasz, aż ja wpadnę w szok? Jej twarz przebiegł skurcz wzruszenia.

- Twierdzisz, że jeszcze nie wpadłeś? Na litość boską, wiem, co sądzisz o zdolnościach paranormalnych!



Zakrztusiłeś się przy słówku „czarownica”. Na pewno uważasz, że mój dar jest dziwaczny.

- Oczywiście, że tak. - Złapałem ją za rękę. - Niektóre osoby z autyzmem nie potrafią się nauczyć, jak przejść przez jezdnię, ale umieją mnożyć w pamięci czterocyfrowe liczby. To też jest dziwne.

- Uważasz mnie za idiotkę? - najeżyła się.

- Za kobietę o dziwnych zdolnościach, ale znacznie bardziej przydatnych niż mnożenie w pamięci. Mimo wszystko mam nadzieję, że to nie ma nic wspólnego z czakrami i aurami.

- Nigdy nie widziałam aury. Ale czakry dość dokładnie opisują przepływ energii przez ciało. Nie widzę jej, ale czuję.

- Przywyknę - westchnąłem z rezygnacją. Uśmiechnęła się i zaczęła się bawić cukierkiem, rozwijając i zawijając paperek.

- Zniosłeś to lepiej, niż przypuszczałam, ale nie pomyślałeś o konsekwencjach.

- Ponad tydzień łamałem sobie głowę, naczytałem się o czakrach i innych ezoterycznych pomysłach. Gdybym nie przygotował się teoretycznie, nadal utrzymywałabyś mnie w nieświadomości.

- Pomyśl - zachęciła mnie łagodnie. - Jeżeli umiem przywrócić bicie serca, mogę je także zatrzymać. Nie boisz się? Sypiasz przy kobiecie, która jest zdolna zatrzymać ci serce.

- Jeśli o to martwił się twój dawny facet, mogę go awansować na łajdaka.

- Miał powody.

- Głupota. Każda kobieta może zamordować śpiącego obok mężczyznę. Trucizna, pistolet, nóż, szybko i sprawnie. Ty zrobiłabyś to inaczej.

Obrzuciła mnie udręczonym wzrokiem.

- Istnieje podstawowa różnica pomiędzy mną a twoimi potencjalnymi morderczyniami. Ja zrobiłam to naprawdę. Gdy miałam osiem lat, zatrzymałam serce dziadkowi.

Na moment zaniemówiłem z wrażenia, a potem poczułem wzbierający gniew.

- Co on ci zrobił? Co zrobił, by zmusić cię do takiej obrony...?

- Skąd ta myśl? - Jej oczy były tak wielkie, jak moje, gdy uzdrawiała panią Bradshaw. - Skąd wiesz?

- Kochanie, jak możesz w ogóle pytać? Wściekłość uleciała, pozostawiając ból. Objąłem ją i przytuliłem mocno do piersi.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Ben... - Obdarowała mnie słabym uśmiechem.

- Jasne, równy ze mnie gość. - Pogładziłem ją czule po włosach. - Musiał zrobić coś okropnego.

- Tak... - zawahała się. - Molestował mnie, obmacywał. Nie wiem, jak daleko by się posunął.

- Miałaś tylko osiem lat...

- Dlatego tamta babka mnie nienawidzi. Odmawia przyjęcia do wiadomości, że szlachetny pan sędzia mógł zrobić coś takiego.

- Ale przecież on nie umarł.

- Nie, utrzymałam go przy życiu do przyjazdu pogotowia. Wtedy nie wiedziałam, jak przywrócić mu zdrowie.

- Wzdrygnęła się. - Obnażył się przede mną... krzyczałam, żeby przestał. Nie myślałam o zatrzymaniu jego serca, ale to się samo stało...

Głos uwiązał mi w gardle.

- Nie wyobrażaj sobie, że przeżyłam potworną traumę.

- Wyprostowała się. Oczy miała wilgotne, ale uśmiechała się. - Daisy by na to nie pozwoliła. Ojciec odesłał mnie do

domu. Nie rozmawiał ze mną o tym, ale Daisy tak. Pomogła mi poradzić sobie z najgorszym, więc nie obwiniałam się.

Może nie miała poczucia winy, ale nosiła ciężkie brzemię bólu. Nie wiedziałem, co począć. Wierzchem dłoni starłem jej pot z szyi.

- Wiedziałem, że polubię twoją mamę.

Wciąż wyglądała na zmęczoną, ale już nie tak bardzo. W jej oczach tliła się radość.

- Nie masz więcej szokujących tajemnic? - uśmiechnąłem się.

- To było wszystko - potwierdziła z powagą.

- I jak, zdałem? - zapytałem z nadzieją.

- Ben, nie poddawałam cię próbie. Ja... no dobra. - Uśmiechnęła się niespiesznie. - Zdałeś śpiewająco.

- Więc wyjdiesz za mnie? Zrobiła okrągłe oczy.

Nie mogłem powstrzymać śmiechu.

- Drugi raz odebrało ci dziś mowę. To chyba rekord.

- Owszem... - przytaknęła słabo. - Ben, wiem, że nie chcesz się angażować.

Chwyciłem ją za rękę.

- Seely, pasujemy do siebie pod każdym względem. Trudno mi to wyrazić słowami, ale jesteś wyjątkowa. Nie mówię o twoim darze, ale o... po prostu o tobie.

Oczy znów jej zwilgotniały. Mówiłem dalej. Liczyłem, że ją przekonam.

- Myślę o tobie, gdy nie ma cię przy mnie, i o tym, co będzie z nami za dwadzieścia lat. I jak pięknie wyglądałabyś w ciąży. Świetnie dogadujesz się z Zachem, będziesz wspaniałą matką.

Próbowała wyszarpnąć dłonie z mojego uścisku.

- Ben!

- Nie oczekuję, żebyś matkowała Zachowi - zapewniłem pospiesznie. - On ma matkę. Ty płaczesz... Daj spokój, Seely.

Ale łzy polały się z jej oczu obfitą strugą.

- Nie mogę mieć dzieci, mówiłam ci... - załkała. Spojrzałem na nią, a potem ostrożnie, jakbym lawirował po polu minowym, spróbowałem:

- Miałaś na myśli pigułki?

- Miałam na myśli dokładnie to, co powiedziałam. Nie musiałeś się zabezpieczać, bo i tak nie zajdę w ciążę.

Puściłem jej dłonie. Wir myśli zakłębił mi się w głowie. Boże, ona była przekonana, że wiem o jej bezpłodności i akceptuję ten stan. Potrząsnąłem głową.

- O ile wiem, bezpłodność leczy się dzisiaj z dużym powodzeniem, chyba że miałaś wypadek albo operację.

- Próbowałam zajść w ciążę... Chcieliśmy dziecka, staraliśmy się wiele lat. Przebadaliśmy się, ale lekarze niczego nie wykryli.

- Więc może wszystko jest w porządku, po prostu jego sperma nie pasowała do ciebie. Gdzieś o tym czytałem.

- To przez mój dar - wyznała z goryczą. - Kobiety w mojej rodzinie nie są zbyt płodne. Matka, babcia i prababcia miały po jednym dziecku. Podobno mój dar jest silniejszy niż ich. Może zabija plemniki, gdy tylko dotrą do macicy, jak wirusy przedostające się do krwi? Zresztą, to bez znaczenia.

- Przeciwnie.

Przeczesałem dłonią włosy, ale to nie uspokoiło skołatanych nerwów. Zacząłem spacerować po pokoju.

- Może przyczyną nie jest dar, ale nieodpowiednie nasienie.

- Steven nie był moim jedynym kochankiem. Nigdy się nie zabezpieczałam.

Co było ze mną nie tak, że gdy tylko próbowałem dotknąć marzeń, rozsypywały się w proch?

- Chyba jesteś w stanie kontrolować swój dar?

- Jego użycie, ale nie sposób działania.

- Spróbuj.

Gdybym zrozumiał, jak działa dar, może wychwyciłbym coś, co przeoczyła Seely. Westchnęła i odrzuciła włosy do tyłu zmęczonym gestem.

- W moim ciele działa jak autopilot, leczy mnie automatycznie. Gdy uzdrawiam kogoś, robię... powiedzmy szablon z mojego pola energetycznego. Dlatego zabroniłam, by ktoś dotykał pani Bradshaw podczas seansu, bo inne osoby deformują szablon. Gdy czyjeś ciało zaakceptuje mój szablon, już wie, jak ma się szybko uzdrowić.

- Czy możesz jakoś modelować szablon?

- Teoretycznie tak, lecz taka ingerencja może go zniszczyć, podobnie jak mnie. Grozi rakiem albo inną chorobą.

- O, nie...! - zaprotestowałem.

- Dlatego powiedziałam, że nasz związek powinien być przelotny. Zaslugujesz na dzieci. Wiem, że byłeś zdecydowany na małżeństwo, ale miałam nadzieję...

- Skąd wiedziałaś?

- Kocham tę twoją uczciwość. - Zmierzyła mnie kpiącym spojrzeniem. - Nie umiesz ukryć myśli ani uczuć.

Więc jednak coś we mnie kocha? Serce mi drgnęło. W końcu można kochać pewne cechy człowieka, nie będąc zakochanym. A jednak...

Poklepałem się w pierś, jakbym chciał uspokoić serce.

- Może myślałem ostatnio o małżeństwie, co nie znaczy...

Nieprawda. Dla mnie małżeństwo oznaczało również dzieci. Te dwie rzeczy wiązały się ściśle w mojej głowie i sercu.

- Potrzebuję czasu do namysłu - powiedziałem ostrożnie.

- Będziesz go miał pod dostatkiem.

- Idiota ze mnie. Zamęczam cię, a ty jesteś wyczerpana. -  
Usiadłem na łóżku i poklepałem ją po dłoni. - Połóż się,  
wyniosę tacę i wrócę. Zastanowimy się nad tym rano.

Seely miała rację, nie potrafiłem udawać. Choć zwykle nie  
uciekałem przed trudnościami, niosąc tacę do kuchni, miałem  
wrażenie, jakbym to właśnie zrobił.

Gdy wróciłem do sypialni, Seely już spała. Odczułem  
ulgę. Byłem wykończony czekaniem, aż się obudzi, i  
późniejszą rozmową. Zaciągnąłem zasłony, rozebrałem się i  
położyłem, obejmując ją ramieniem.

Rano Seely oznajmiła, że odchodzi.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Obudził mnie dźwięk wyciąganej z szary walizki. Seely krzątała się po pokoju, wyjmując z szuflad swoje rzeczy, które nie zagrzały tu długo miejsca. Kiepski początek dnia.

- Jak to? Wyprowadzasz się?

- Tak. Oboje potrzebujemy czasu do namysłu.

- Jest pewna różnica. - Pospiesznie wygramoliłem się z łóżka. - Nie chcę, żebyś odchodziła. Możemy się namyślać razem.

- Wybacz. - Spojrzała wzrokiem tak przejmująco smutnym, że poczułem się jeszcze gorzej. - Wiem, że to stało się nagle, ale wszystko robiliśmy ekspresowo. Za szybko.

- Wcale nie. A wyprowadzka to wielki błąd.

- Cóż znaczy jeden błąd więcej? I tak narobiłam straszego zamieszania. Liczyłam na zbyt wiele. Bezpodstawnie - dodała z goryczą, wrzucając stos podkoszulek do ogromnej walizy.

- Oświadczyłem ci się. Daj spokój... - Ze złością chwyciłem podkoszulki i wsadziłem z powrotem do szuflady.

- Robisz z igły widły. Zamieszkaliśmy razem, żeby wszystko uporządkować. Jak mamy to zrobić oddzielnie?

- Nie będziesz mi dyktował, co mam robić! - Podkoszulki znów wylądowały w walizce. - Och... - Zmęczonym gestem potarła czoło. - Zachowuję się jak dziecko.

- Zjedz coś, napij się kawy, unormuj poziom cukru we krwi, a nabierzesz dystansu - poradziłem.

Jej wzrok zamglila rozpacz, lecz usta przybrały zacięty wyraz. Sięgnęła do następnej szuflady. Odepchnąłem jej dłoń.

- Dlaczego? - spytałem, a raczej desperacko błagałem. - Powiedz mi, dlaczego odchodzisz!

- Obiecałam sobie, że nie będę płakać. Nie jestem tak bezpośrednia i otwarta, jak ty. Mówiłam jedno, ale liczyłam na co innego. Miałam nadzieję, że zaczniesz na mnie zależeć.

- Tak było.

- Dlatego popełniłam błąd. Nie widzisz? - Postąpiła dwa kroki, ale unikała mojego wzroku. - Poszłam za tobą bez chwili wahania. Pragnęłam cię i wmawiałam sobie, że to możliwe.

- I teraz, kiedy mnie masz, chcesz rzucić?

- Sądziłam... - rozplakała się na dobre - że pogodziłeś się z moją bezpłodnością. Myślałam się, ale nieporozumienie wynikało też z mojej winy. Broniałam się tak zapamiętała, że nie powiedziałam ci o darze.

- Jeśli odchodzisz, żeby mnie chronić - warknęłam - nie rób tego.

- To nie jedyny powód. Chronię siebie, sama nie wiem, co ze sobą zrobić. Myślałam, że wszystkiemu stawię czoło, ale...

- Skuliła się żałośnie. - Nie chcę cierpieć jeszcze bardziej, Ben.

Przejmujący ból dołączył do trującej udręki, która trawiła mi wnętrze.

- Chyba wiesz, że nigdy bym cię nie skrzywdził.

- Nie? - Pierwszy raz jej brwi skomentowały sytuację, unosząc się z niedowierzaniem. - Wciąż chcesz się ze mną ożenić? Daj spokój, bez dzieci pogrzebałbyś marzenia. I potem winiłbyś mnie.

- Zrozum, potrzebuję trochę czasu, by pogodzić się z tą myślą, i tylko tyle. Ty miałaś na to wiele lat - jęknęłam.

- Dobrze, dam ci czas.

Potarłem twarz dłonią. Cholera, nie zamierzałem błagać. Nabrałem powietrza.

- I dlatego musisz odejść?



- Tak - zacisnęła zęby. - Być może się mylę. Powiedz mi jeszcze jedno, ciągle kochasz Gwen?

Zaniemówiłem. Seely kiwnęła głową.

- Tak myślałam. - Odwróciła się do komody, wyjęła dzinsy i wrzuciła do walizki. Zapięła suwak.

- Byłem bez szans! Zastrześliś mnie tym pytaniem. Nie miałem pojęcia, że podejrzewasz coś takiego... Skąd mogę wiedzieć...? Teraz czuję wszystko naraz...

- Pociesz się, że ja też. - Dźwignęła walizkę. - Obiecuj, że nie będziesz mnie nachodził ani dzwonił. Odezwę się pierwsza.

Miałem wrażenie, że zaraz stracę oddech, jak na szczycie górskiej premii. Z wysiłkiem zatrzymałem powietrze w płucach. Nie mogliśmy jednocześnie wpaść w panikę, a oboje byliśmy na najlepszej drodze.

- Powiedz, gdzie się zatrzymasz, prześlę ci pieniądze - powiedziałem drewnianym głosem.

- Podam ci adres, jeśli złożysz obietnicę. W przeciwnym razie opuszczę Highpoint i zniknę.

Przyrzekłem, choć czułem się, jakbym zuł szkło.

- Pamiętaj, obiecałaś zadzwonić.

Skinęła głową. Nie pomogłem jej zanieść bagażu. Zostałem w sypialni, nasłuchując, jak walizka uderza o stopnie. Drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły.

Odwróciłem się, złapałem pierwszą rzecz z brzegu i cisnąłem o ścianę, a potem stałem, dysząc pośród tysięcy fragmentów chińskiej lampy mojej matki.

Cztery dni później, gdy wróciłem do biura z budowy Pattersona, doktor Harold Meckle wjechał na parking tuż przede mną i zajął moje miejsce.

- Panie McClain! - zawołał, wysiadając z lśniącego lincolna. - Musimy porozmawiać.

Nie byłem w nastroju. Od chwili odejścia Seely nie chciałem się widywać nawet z rodziną. Demonstracyjnie trzasnąłem drzwiami ciężarówki.

- Jestem zajęty.

- To zajmie chwilę, chciałbym pana zbadać. - Oczy lekarza błyszczały z emocji. - Wpadłem na trop.

- Na trop czego?

- Wiem, że to ta kobieta... - Podeszedł za mną do drzwi biura. - Nie wiem, co potrafi, ale chcę sprawdzić. Słyszałem, że się rozstaliście. Liczyłem, że namówi ją pan do rozmowy, ale to chyba nierealne.

- Słusznie, nie rozmawiamy ze sobą.

- Na ostrym dyżurze zajmowałem się panią Bradshaw. Miała rozległy zawał, mimo to serce nie jest uszkodzone.

- Proszę odejść. - Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka.

- Potrzebuję konkretnych faktów do przygotowania artykułu - nalegał. - Muszę pana zbadać. Niemożliwe, żeby poruszał pan normalnie tym ramieniem.

- A może po prostu się pan pomylił?

Wciąż trajkotał, gdy zamknąłem mu drzwi przed nosem. Nie włączając światła, usiadłem przy biurku. Mogłem zabrać robotę do domu, jednak nie chciałem tam wracać. Trudno wytrzymać w pustym wnętrzu, ale jeszcze trudniej wśród niespełnionych marzeń.

. Pomyślałem o doktorku, który chciał napisać artykuł i zdobyć sławę, analizując ludzkiego laboratoryjnego szczura. To przypomniało mi o Seely. Od chwili rozstania myślałem o niej cały czas.

Wiedziałem, gdzie była. Przysłała mi uprzejmy liścik z adresem - tani motel na skraju miasta. Wysłałem jej czek, ale złożona obietnica powstrzymywała mnie od innych działań.

Nie mogłem jej nawet powiadomić, że doktor interesuje się nią.

Zaraz. Miałem nie kontaktować się z samą Seely, ale nie było mowy o rodzinie. Dowiedziałem się, że jej brat przyrodni, Jonathan, był w zarządzie szpitala.

Zamaszyście otworzyłem książkę telefoniczną. Jonathan Burns mógł być przyzwoity albo podobny do swojej babki. Na pewno chciałby się dowiedzieć, że doktor Harold Meckle omal nie zrobił z Seely medycznej gwiazdy brukowców. Może Jonathana zmartwiłoby jej położenie, a może konsekwencje dla reszty jego najdroższej rodziny?

Seely na pewno nie zagroziłaby mu ujawnieniem tego, co zrobił jej dziadek, lecz ja nie miałem takich skrupułów. Kwestia brata wciąż była otwarta. Sięgnąłem po słuchawkę.

Po tygodniu od odejścia Seely podjechałem na parking przed barem Wagonwheel, tym razem taksówką. Nie przepadam za clubingiem, chyba jestem na to za stary. W bilard grywam u Bintona, a na tańce chodzę do hotelu. Ale dziś chciałem podtrzymać starą tradycję i pić, aby zapomnieć o kobiecie. Nie sądziłem, że podziała, ale zamierzałem spróbować.

Wagonwheel było dobrym miejscem, żeby się urznąć. Nie speluna, ale też nic wyszukanego. W drodze do baru minąłem kilku znajomych, jednak nie szukałem towarzystwa. Zamówiłem podwójną whisky, gdy ktoś klepnął mnie w plecy.

- Cześć, Ben. Dawno cię nie było.

Odwróciłem się i skrzywiłem. Chuck Meyers był grubym, obcesowym gościem, który grał ze mną w piłkę w liceum. Stroniłem od barów, żeby się do niego nie upodobnić.

- Kurowałem się.

- To twoja wersja - zarechotał. - Czy to nie miało nic wspólnego z tą seksowną ratowniczką? Widziałem ją, jak poszedłem do szkoły po papiery dzieciaków. Fajna laska.

- Zamknij się, Chuck.

- Też ją widziałem - wtrąciło się jakieś wąsate chuchro. Kojarzyłem go ze szpitala, był chyba sanitariuszem. - W chińskiej knajpie na Elm z przystojnym blondynem. Masz pecha, McClain. Gryzie cię, że ją straciłeś.

Tylko tego mi brakowało. Odwróciłem się, próbując ich zignorować.

Seely nie zadzwoniła, postanowiła odejść z blondynem zamiast rozwiązać nasze problemy.

Dostałem drinka, poprosiłem o rachunek i wychyliłem szklaneczkę. Chuck z kumplem nie dawali za wygraną.

- Dużo bym za nią dał - oznajmiło chuchro.

- Niektórzy nie wiedzą, co mają - basował mu drugi. - Też bym nie pogardził.

- Chuck, kazałem ci się zamknąć - warknąłem.

- Coś taki wrażliwy? Sameś sobie winny, trzeba było... - Nie dokończył.

To był dobry cios.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Uważaj na głowę - ostrzegł Duncan.

Stałem jak wryty przed radiowozem. To poniżające, gdy aresztuje cię młodszy brat.

- Jeśli wsadzisz mnie do tyłu, złożę skargę.

- Myślałeś, że pozwolę ci jechać z przodu? - kącik ust Duncana uniósł się niemal niedostrzegalnie. - Ciesz się, że cię nie zakułem w kajdanki.

Otworzyłem drzwi pasażera. Koniec zabawy moim kosztem. Duncan usiadł za kierownicą i zapalił silnik.

- Nie mogę się nadziwić, że wywołałeś burdę w barze.

- Walnąłem go tylko raz.

- Trzej pozostali zmyślili sobie, że brali udział w bójce?

- Mają bujną wyobraźnię.

Duncan westchnął jak wtedy, gdy był nastolatkiem.

- Dlaczego wybrałeś Meyersa?

- Ten drugi to chuchro, a Chuck jest mojego wzrostu.

- Nie o to chodzi.

- Nie mogłem znieść świńskich uwag o Seely.

Ostrzegałem Chucka, żeby się zamknął, ale nie odpuścił.

- Jako mężczyzna rozumiem, jako brat współczuję, ale jako gliniarz powinienem odczytać ci twoje prawa.

- Nikt nie wniósł oskarżenia - broniłem się.

To dzięki obietnicy, że pokryję koszty wyrządzonych szkód, choć niczego nie uszkodziłem. Nawet szczęki Chucka, bo celowałem w brzuch. Waląc w szczękę, można sobie nadwerężyć dłoń.

- Pijany i agresywny facet wszczął rozróbę w barze.

- Cholera, nie jestem pijany! Łyknałem tylko jednego.

Kącik ust Duncana uniósł się nieco wyżej. Doszło do mnie, że mnie podpuszcza. Zamilkliśmy. Żałosne, że człowiek nie może się nawet upić bez wpadania w tarapaty.

- Przykro mi, że nie ułożyło ci się z Seely - odezwał się łagodniejszym tonem.

- Mnie też.

- Gwen rozmawiała z nią wcześniej kilka razy. Zdziwiłem się, choć może niepotrzebnie. Przecież się polubiły.

- Seely nie chciała jej powiedzieć, co się dzieje. Gwen obawia się, że chodzi o nią.

- Skądże! Powiedz jej... - Potarłem twarz dłonią, wzdychając bezsilnie. - Wiesz, że kiedyś kochałem Gwen, ale to było dawno.

Nie wyjaśniłem tego Seely, ale nie dała mi szansy, odchodząc tak nagle. A może dla mnie samego nie było to jasne? Teraz dostrzegałem wiele rzeczy, które wcześniej umykały mojej uwadze. Strata Seely była jak konanie na zboczu góry.

- Powiedz Gwen, że problem tkwi we mnie. Dowiedziałem się, że Seely nie może mieć dzieci, i ciężko to zniósłem.

- Nie jest łatwo, gdy ukochana kobieta nie może ci urodzić dziecka.

W głosie Duncana wyczułem napięcie i nagle pojąłem własną głupotę. Po chemioterapii, którą wyleczono raka Gwen, ciąża stanowiła zagrożenie. Prawdopodobnie jej jedynym dzieckiem pozostanie Zach... mój syn. Żałowałem, że nie jest w pełni mój i że ze mną nie mieszka, lecz uświadomiłem sobie, że najpewniej będzie również jedynym synem Duncana. Mój brat okazał się cichym bohaterem, którego ofiarę łatwo przeoczyć. Zawstydzilem się.

- Wiedziałeś o tym, prawda? - powiedziałem w końcu, gdy skręcaliśmy w moją ulicę.

Duncan milczał, aż zaparkowaliśmy na podjeździe za moją ciężarówką. Potem odwrócił się do mnie.

- Jeżeli kochasz Seely, będziecie razem rozpaczać nad tym, czego nie możecie mieć. Przecież twoje nienarodzone dziecko byłoby także jej dzieckiem.

Dosłownie skręcałem się ze wstydu i z bólu. Głupek i skończony egoista!

- Jakim cudem jesteś bardziej dorosły niż ja? - wydusiłem w końcu z siebie.

- Brałem przykład z kogoś, kto wychowywał dzieci, nie będąc ich ojcem. - Kamienną twarz młodszego brata rozjaśnił rzadki na jego ustach uśmiech.

- Tak? Z kogo?

- Z ciebie, głupku.

Zajazd „Święto Snu” przypominał skupisko pokoi tworzących podkowę wokół asfaltowego podwórza z pustym basenem pośrodku. Zdezelowany neon „Swi...nu” najlepiej określał to miejsce. Do pokoju numer czternaście prowadziły drzwi od strony szosy. Zapukałem.

- Odejdź, bo wezwę policję!

- Na litość boską, Seely... Co to za miejsce, gdzie trzeba dzwonić po gliny, gdy ktoś puka?

Usłyszałem westchnienie i szcęk otwieranego zamka. Drzwi stanęły otworem i zobaczyłem Seely w starej bluzie i moich spodniach od piżamy z podwiniętymi nogawkami.

- Nie pukałeś, tylko waliłeś! Jest wpół do jedenastej. Co tu robisz?

- Łamię obietnicę. Mogę wejść?

Miała nieufny wyraz twarzy, ale wpuściła mnie. Nigdy nie byłem w pokoju zajazdu „Święto Snu”. Rozejrzałem się i zmarszczyłem z niesmakiem brwi.

- Co za nora! Dlaczego nie powiedziałaś, że potrzebujesz pożyczki?

- Uważasz, że skoro cię zostawiłam, powinnam pożyczać od ciebie pieniądze na wygodniejsze życie?

- Owszem, bo na pewno nie przyjęłabyś ich w prezencie.  
- Przyszedłeś powiedzieć mi to o wpół do jedenastej?  
Oblałem się rumieńcem.  
- Przyszedłem, bo to była głupia obietnica. Jak możesz decydować, skoro nie znasz mojej decyzji?  
- Złamałeś już kiedyś obietnicę, Ben?  
Byłem pewny, że nie. Zacząłem chodzić po pokoju.  
- Obmyśliłem sobie, co i jak powiedzieć, ale zbiłaś mnie z tropu.  
- Wybacz. - Wcale nie wyglądała na skruszoną.  
- Rzecz w tym - oznajmiłem, stając przed nią - że zmieniłem zdanie, chociaż trochę to trwało. Zgadzam się na adopcję, jeśli też tego chcesz. Ktoś mądry pomógł mi dostrzec, że cudze dzieci mogą stać się moimi.  
- Więc wciąż chcesz się ze mną ożenić. - W jej głosie zadrgał skrywany ból.  
- Pragnę tego jak niczego na świecie.  
Marzyłem, aby jej dotknąć, ale nie ufałem sobie. Seks przychodził nam zbyt łatwo. Mógłby przerwać tę ważną rozmowę.  
- Nie jestem wygadany, za to bardzo uparty. Potrzebuję czasu, żeby zobaczyć rzeczy takimi, jakie są. Pytałaś o Gwen. Była dla mnie snem, wyobrażeniem idealnego życia. Ale nie dostrzegałem, że czasem trzeba odrzucić marzenia, żeby uchwycić rzeczywistość.  
- Ben... - oczy Seely zawilgotniały.  
- Pozwól mi skończyć. - Ująłem jej dłonie. - Ty jesteś moją rzeczywistością, lepszą od wszystkich marzeń razem wziętych. Dam ci czas. Możemy powrócić do luźnych spotkań, ale nie odsuwaj mnie, proszę.  
Rzuciła mi się nagle w ramiona, śmiejąc się i płacząc. Zamrugalem, kompletnie oszołomiony, głaszcząc jej włosy i rozkoszując się ponowną bliskością.



- Pójdiesz ze mną?

- Chcę za ciebie wyjść, idioto! - Promienny uśmiech rozświetlił błyszczące od łez oczy. - Od chwili kiedy cię spotkałam, jak czołgałeś się pod górę... Byłeś zbyt uparty, żeby umrzeć. Wszystkie kobiety w mojej rodzinie od razu wiedzą, że spotkały miłość swojego życia, to tradycja. Ale wciąż nie powiedziałeś tego, co powinieneś.

Gorączkowo analizowałem ostatnie minuty, myśląc, o czym nie powiedziałem.

- Czy pamiętałem, żeby poprosić cię o rękę?

- Nie o to chodzi - potrząsnęła głową. - Powinieneś powiedzieć, że mnie kochasz.

- Ko... Zaczekaj, nie mówiłem tego od dawna...

- Od kiedy? - spytała delikatnie.

Tym razem dłużej szukałem w pamięci. Od wielu lat. Naprawdę tak dawno? Takich rzeczy nie mówi się braciom, Annie wiedziała, więc nie musiałem się jej wyzwierać. Odchrząknąłem.

- Ostatni raz powiedziałem to rodzicom, kiedy wsiadali do samolotu.

- I nigdy już nie wrócili?

- Głupota, dawno to przeboleiałem. Ko... - wciąż nie padały słowa, na które czekała. Czulem dzwonienie w uszach i mdłości. - Dobrze, zrobię to. Ko... Kocham cię.

Pocałunek, którym mnie obdarzyła, wymazał na zawsze wszystkie psychiczne urazy. Skłoniła mi głowę na ramię.

- Ja ciebie też. Pokochałam cię tak mocno i szybko, że ze strachu omal nie uciekłam z miasta. Gdyby Duncan nie znalazł mnie na dworcu...

- Dużo mu zawdzięczam. - Objąłem ją mocno.

- Wiele razy chciałam do ciebie zadzwonić. Gdybyś mnie nie kochał, nie wyszłabym za ciebie, nie mogąc urodzić ci dzieci. Bałam się, że mimo to się zgodzę, dlatego odeszłam.

- Mogłaś powiedzieć, że mnie kochasz.

- Wtedy poczułbyś się w obowiązku ,ożenić ze mną, nawet bez miłości.

Już otwierałem usta, by zaprotestować, ale zrezygnowałem. Być może miała rację. Do chwili jej odejścia nie miałem pewności, czy straciłem dla niej głowę.

- Chciałaś odjechać ze względu na mnie?

- Głównie. Jeśli zaś chodzi o mojego brata... - Pocałowała mnie delikatnie. - Dzięki. Wczoraj byłam na obiedzie z Jonathanem, opowiadał o waszej rozmowie. Skontaktował się z doktorem Meckle'em, który stracił zainteresowanie pisaniem artykułu.

- Wspaniale! Co sądzisz o Jonathanie?

- Lubię go. Oczywiście minie trochę czasu, nim wszystko się między nami ułoży. Był zadowolony ze spotkania i równie niepewny przyszłości, jak ja. To dopiero początek. A teraz powiedz mi jeszcze raz - popatrzyła mi badawczo w twarz. - Na pewno godzisz się z brakiem dzieci? Ja też pragnę adopcji, ale musisz być pewny.

- Nie wyobrażam sobie niczego słodszego niż patrzeć, jak zaokrąglasz się, nosząc moje dziecko, i jest mi smutno, że tego nie doświadczymy - uśmiechnąłem się czule. - Ale to tylko część umowy, nie najważniejsza.

- Może i dobrze, że nie wymieszamy genów. Kto wie, jaki byłby potomek dwóch tak silnych osobowości?

- Tylko jedna osoba w tym pokoju posiada dar.

- Ben, ja nie jaśnieję.

- Oczywiście, że tak. Widziałem dwa razy.

- To była moja aura. Nikt inny nie widział, żebym świeciła podczas uzdrawiania, nawet ten naukowiec - zachichotała. - Jeśli nie wierzysz, spytaj Zacha albo panią Bradshaw. Zastanów się, jak utrzymałabym zdolność

uzdrawiania w tajemnicy, gdybym za każdym razem błyszczała jak choinka?

- Dobra, świecisz tylko dla mnie - zgodziłem się po chwili namysłu. - Co nie znaczy, że widzę aury, bo inaczej dostrzegałbym je u wszystkich - uśmiechnąłem się niespiesznie. - Ufam moim oczom, gdy patrzę na ciebie, Seely.

To, co widziałem, było prawdziwe. Miłość jest tak realna, jak tylko tego chcemy.

Czternaście miesięcy później

Zaproszenie dla Jonathana i Daniela Burnsów:

Benjamin i Seely McClain Zapraszają w środę,  
29 lipca o godzinie 19.00 na przyjęcie powitalne  
ich syna Petera Liu w jego nowym domu